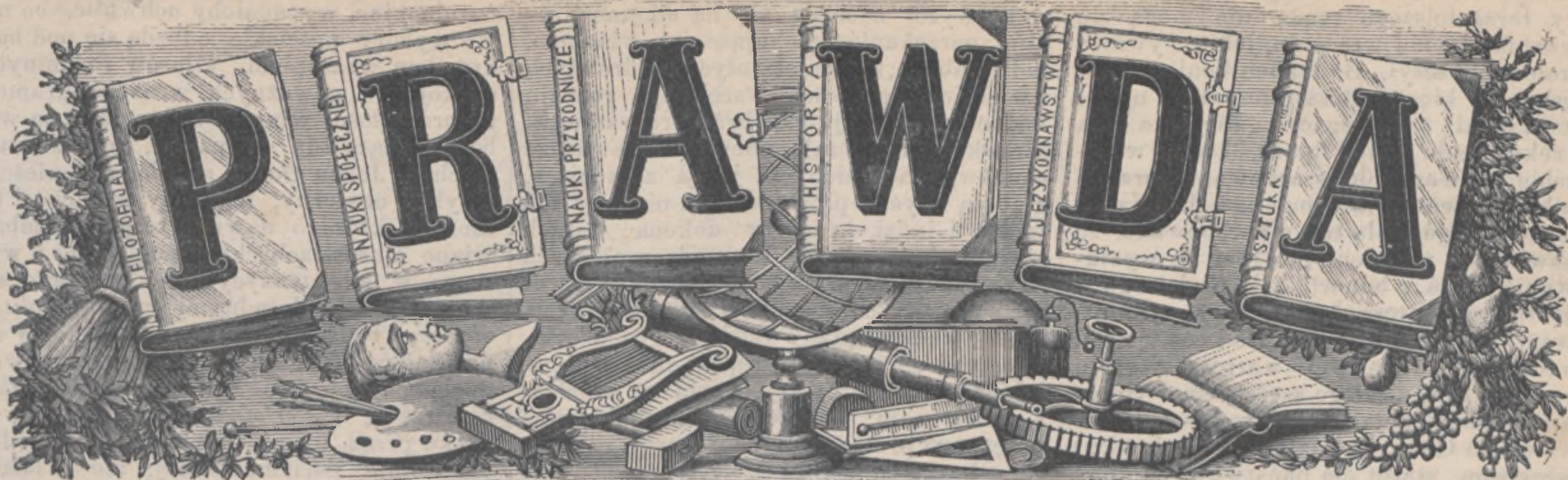
№ 16. Warszawa, dnia 18 (6) Kwietnia 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Koszta niepokoju. — Smutne wczoraj i Wątpliwe jutro p. Leszka.— Strach z opowiadań Guy de Maupassant'a.—Listy krakowskie p. M.—Szkoła romantyczna we Francyi p. Wiat. — Dzieje kapłaństwa I. p. Ad. J. Cohna. — Literatura czeska: Jarosław Wrchlicki, Vittoria Colonna p. Justyna Feliksa Gajslera. — Piśmiennictwo polskie: „Starożytność pieśni Bogarodzica" ks. Knothe'go. Tom X Rozpraw wydziału filologicznego Akad. Um. w Krakowie. L. Malinowskiego „Przyczynki do historyi wyrazów polskich," i A. A. Kryńskiego „Gwara zakopańska" p. A. Przegonia. Józef Bliziński: Nowe humoreski p. Z. — Teatr p. S. K. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. A. C. — Tydzień polityczny. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Koszta niepokoju.

Zatarg angielsko-rosyjski był i jest niewątpliwie działaniem dyplomatycznem. Przyjęły w nim wszakże udział inne czynniki, a przedewszystkiem wiecznie czujna, najzręczniej w mętnych wodach ryby łowiąca, zawsze umiejąca rozdmuchiwać iskry wojenne i ogrzewać przy nich swe interesy — giełda. Jej tajemne sprężyny, których nacisk odbija się ledwie dostrzegalnym dla ogółu ruchem kursów pieniężnych w czasie spokojnym, wyskakują na wierzch i działają z szaloną mocą przy najmniejszem popękaniu stosunków politycznych. Najbardziej zaś dręczoną ofiarą giełd europejskich jest rubel, który ze swej wartości musi płacić haracz wszelkim, nawet bardzo oddalonym od jego gruntu zawichrzeniom. Wojna w Dahomeju, w Sudanie, w Chinach — rubel natychmiast zostaje przez giełdy obłożonym kontrybucyą.

Nietrudno było przewidzieć, że zatarg angielsko-rosyjski w Azyi, bez względu na to, czy doprowadzi do wojny, czy nie, oddziała na wartość papierów rosyjskich. Rzeczywiście, strącone ze swego niskiego poziomu spekulacyami giełdowiczów spadały one, jak gdyby były obligami tych, których Noe nie wybrał do swej arki i którzy zginą w potopie. Chwilami ruble dosięgały niemal swego kursu z najcięższych chwil wojny rosyjsko-tureckiej (1 rs. = 1 marce 90 — 95 fenig.). W podskokach ku górze i nadół ruch ten zniżkowy trwa już kilkanaście dni, a chociaż wciąga często i papiery zagraniczne, głównie wszakże mści się na rosyjskich. Koszta wojen obliczają się zwykle od chwili, gdy pierwsze pułki wyruszą na pole bitwy; straty przedtem poniesione nie wchodzą do rachunku. Jeżeli zaś starcie orężne po przewlekłych groźbach zostaje zażegnanem, wtedy ogółowi zdaje się, że te groźby nic nie kosztowały, bo przecie nie uruchomiano wojska, nie wysłano okrętów, nie zakupiono kul itd. Jestto grube złudzenie. Niepokój wojenny ma także swoje olbrzymie koszta, wypłacane na giełdzie. Ile one wynosiły w obecnym wypadku — oszacować niepodobna, w każdym razie stanowią niewątpliwie dziesiątki milionów, jeżeli nie setki. Ani zwycięstwo gen. Komarowa, ani układy gabinetów nie odbywały się darmo — przekonywał o tem codziennie i widocznie kurscettel.

Kilkakrotnie już zaznaczaliśmy, że wojny orężne coraz bardziej zamieniają się na ekonomiczne, może bardziej niszczące, w których armaty i karabiny ustępują miejsca clom i operacyom giełdowym. Od lat wielu ciężką taką wojnę prowadzić musi Rosya. Zapasów tych nie widzimy, bo je osłania siatka „przyjacielskich stosunków" politycznych. Pod tą osłoną toczy się niekrwawy, ale wyczerpujący siły bój. Niemcy np. pozostają w najlepszej zgodzie ze swą sąsiadką, o czem ks. Bismark upewnia przy każdej sposobności. Ale te same Niemcy tamują ustawicznie handel i przez swe giełdy obniżają kurs papierów rosyjskich, co, przez wiele lat dokonywane, kosztuje więcej, niż długa zbrojna kampania. Utratę dwu prowincyi i kontrybucyę 5 miliardów franków uważamy za szczyt klęski państwowej w nowszych czasach; gdybyśmy wszakże policzyli ubytki w walkach ekonomicznych, może one dałyby większą sumę. Tak zwane „stosunki przyjacielskie" państw są tylko pozorami, istota zaś tych stosunków tkwi w ich naturze ekomicznej, która dziś przedstawia systematyczne stosowanie zasady: oko za oko, ząb za ząb. Gdyby rubel miał pamięć i mógł opowiedzieć swoje dzieje z ostatnich lat kilkunastu, usłyszelibyśmy od niego wiele ciekawych szczegółów, ilustrujących „pokój europejski."

Według ostatnich depesz sprawa afganistańska zakończy się polubownie — między gabinetami. Można być wszakże pewnym, że giełdy nie przestaną wzbudzać obawy nawet wtedy, gdy już rzetelna podstawa dla niej zniknie. Teraz właśnie rozpoczną one swą robotę spekulacyjną. Naturalnie nieraz zmysł krytyczny czytelników musi się zgubić i manewr giełdowy wziąść za istotną zapowiedź starć politycznych, ale przeciwko temu nikt nie wynalazł rady.

Gazety rosyjskie, ochłonąwszy z gorączki wojennej, biorą kredkę do ręki i zaczynają obliczać koszta niepokoju. Suma z tego dodawania będzie tylko ogólnikową, ale wystarczy do ochłodzenia niejednej zapalonej głowy.

SMUTNE WCZORAJ I WĄTPLIWE JUTRO.

Można już śmiało zawołać: *Finita la comedia!*

Według wszelkiego prawdopodobieństwa odbędzie się tylko uroczyste zamknięcie sesyi Rady państwa mową tronową. Tak więc sześcioletnia kampania „nowej ery" skończona. Mimo wszelkich wywodów urzędowych i półurzędowych organów o tem, co rząd w drodze administracyjnej może zdziałać dla Galicyi, i mimo ustawicznych kazań na temat „anarchii" i „trom-

tadracyi“ — nawet najgorętsi zwolennicy teraźniejszego rządu nie mogą się oprzeć fatalnemu wrażeniu, jakie wywarło zakończenie sesyi. Bo też ten koniec niósł klęskę po klęsce. Bezstronny widz ujrzał jak na dłoni, że delegacya galicyjska była w ręku rządu tylko figurą, której w potrzebie używano do szachowania przeciwnika a potem odstawiono na bok. Wszak wierność tego ciała tak wypróbowana, że z pewnością samo ono powróci do wysługiwania się za... honor! Tak, posłom galicyjskim wystarcza honor, że są stronnictwem będącem u steru. Bo i cóż więcej, oprócz tego wątpliwej wartości tytułu otrzymał kraj z całego sześciolecia? Sprawa indemnizacyjna (słynny podarek 75 milionów dla Galicyi — jak mówiła lewica) pogrzebana, statut dla państwowych kolej wręcz sprzeczny z życzeniami kraju, przywilej dla kolei Północnej odnowiony na lat 55, t. j. dalsze wyzyskiwanie kraju na jedynej jego linii wywozowej postanowione, wreszcie regulacya rzek, ostatnia deska zbawienia wpływu rządzącej w Kole polskiem partyi — odroczona. Nawet mizernych 500 tysięcy złr. na wstępne prace około regulacyi nie dano delegatom galicyjskim na drogę do domu w zamian za tyloletnią wierną służbę. Po cóż jeszcze przypominać nieśmiertelną sprawę o wydział medyczny dla Lwowa lub odmowę pożyczki na zasiewy dla ludności dotkniętej powodzią? Czyż nie dosyć tej litanii, ażeby wykazać, jak mądrą była polityka posłów, którzy oświadczywszy raz: stoimy i stać chcemy! konsekwentnie w tej roli wytrwali do końca, chociaż nieraz usiąść byli powinni.

Cóż kraj na to? Fizyognomia Galicyi nieszczególna. Po co daleko sięgać — sam Lwów, stolica kraju, miasto ongi na wskróś „warcholskie,“ co wodzów swych za najlżejsze przewinienie zdrajcami nazywało i groźne rezolucye antirządowe bez wahania uchwalało — gdzież podział swą krewkość? gdzie lwie pazury, którymi nieraz przeciwników podrapał? wreszcie, gdzież ci wodzowie, co choćby prosto na plac boju gotowi byli iść — z ratusza?!

Nie jesteśmy bezwzględnymi zwolennikami owej dawniejszej, t. z. tromtadratycznej polityki; ale, jakże straszną jest ta zabijająca cisza, która od dłuższego już czasu zapanowała nad społeczeństwem galicyjskiem! Żadna sprawa polityczna, społeczna, ekonomiczna, literacka, czy jaka tam wreszcie, nie zdoła tych poczciwych obywateli wywieść ze stanu błogiego lenistwa, w które pogrążyli się dobrowolnie — niestety, już oddawna. Na wszystko, co dokoła nich się dzieje, są obojętni lub co najwyżej zdobędą się na smętno-liryczne narzekania, cechujące, jak wiadomo, ludzi słabych, zniedołężniałych. W drobnych i wielkich sprawach wszelkiego rodzaju widać życie bez jutra, brak programu jakiegokolwiek, brak energii, a nie widać czynów, natchnionych jakąś zasadniczą, głębszą myślą przewodnią a niestety nie widać i ludzi, którzyby dokonać takich czynów byli zdolni. Przesadzamy? Niech kto wskaże czyn jakiś energiczny w obronie zagrożonych stosunków ekonomicznych, niech wskaże plany reformy gospodarki, wlokącej się starem i zepsutem korytem, jakieś wielkie projekty, dzieła na którem-kolwiek polu, wreszcie choćby jakiś głos potężnego protestu przeciw partyi rządzącej z krzywdą kraju i społeczeństwa!... Nic i nic. W zmurszałym dachu łata się dziurę po dziurze, z pociechą, że chmur zapowiadających burzę nie widać na widnokręgu.

To samo: jakoś to będzie! panuje wszechwładnie na polu polityki. To też po tylokrotnych zawodach i po ostatnich strasznych dla kraju klęskach, nie jaśnieje nadzieja zwrotu ku lepszemu. Ogół wprawdzie narzeka, ale czynów nie rodzi. U steru wciąż ta sama krótkowidząca, ale karnością związana partya, bezwzględnie popierająca rząd. Za nią właściciele ziemscy, za nią kilka służalczych organów, w lot korzystnie tłomaczących każdy krok rządu i obiecujących... gruszki na wierzbie, a każdy głos krytyki piętnujących mianem anarchii, warcholstwa. Przeciw nim wielu ludzi żywiących jak najlepsze chęci, ale chodzących samopas, bez wodzów, bez energii. Pisma zaś, co niby są organami tej lewicy, starym zwyczajem bądź to bawią się więcej wielką polityką ogólno-europejską na temat: czy będzie wojna?, niż domowemi zajmują się sprawami, bądź też zdobędą się na krytykę i analizę, ale nie na syntezę i na postawienie programu, programu trzeźwego i zasadniczego, pod którego hasłem luźnie chodzący zebrać się i walczyć by zdołali. Ostatnie zdarzenia są wymownym tego dowodem. Pisma t. z. niezawisłe wystąpiły z całym szeregiem artykułów o obecnem położeniu parlamentarnem, stworzonem klęskami prawicy a w szczególności Koła polskiego. Cóż w nich się mieściło? Najwięcej drobnostkowej krytyki i narzekań, tudzież rozpraw na temat, czy będzie sesya poświąteczna, czy tylko uroczyste zamknięcie mową tronową, dalej, że ze względu na Węgry musi być uchwaloną nowela cłowa, wreszcie apostrofy do rządu, że przynajmniej owe pół miliona, przyrzeczone dla Galicyi we wniosku Zeithammera na wstępne prace regulacyjne, wypadałoby uchwalić, bo nowe wybory poselskie odbędą się pod bardzo złem wrażeniem. Głosów rozumnych, spokojnych, poważnych, wraz z programem na przyszłość, właśnie ze względu na wybory, będące tuż za pasem, nigdzie ani słychać. Jedna *Gazeta narodowa* pomieściła artykuł obszerny, napisany w duchu i tonie, do którego dawniej to pismo, zabarwiane staroszlacheckimi poglądami i wierzące w siłę tradycyi, nie wznosiło się. Autor kreśli dosadnymi rysami *politykę niemocy*, będącą wynikiem tego, że w reprezentacyach galicyjskim sterem zawładnęła partya, bezwzględnie uległa rozkazom rządu, t. z. *Hofpartei*, prowadzona na pasku przez ludzi osiwiałych wprawdzie na arenie parlamentarnej, ale właśnie, z powodu tej siwizny i podeszłego wieku, niemających już ani sił i energii do walki, ani bystrego i czujnego oka, niezbędnego dla wodzów. Autor (podobno sam dr. Czerwiński, obecny właściciel *Narodówki*) przyrzeka w następnym artykule rozwinąć program przyszłej polityki— *polityki mocy*. Spełnienie wszakże tej obietnicy jest wątpliwem, gdyż prokuratorya usunęła pierwszy, ażeby przypadkiem duch „anarchii“ nie skaził czystych myśli.

Lecz nitka już nawiązana. Rąbek programu przynajmniej odkryto dla ludzi czynu. Wybory nadchodzą. Partya rusińska krząta się już od kilku tygodni. Czas ocknąć się i tym, którzy nie chcą, ażeby *Hofpartei* nadal rządziła krajem wbrew jego chęciom i wbrew interesom. Komitet centralny wyborczy pod prezydencyą b. namiestnika Potockiego, złożony prawie wyłącznie z żywiołów konserwatywnych, oczywiście będzie dokładał wszelkich starań, ażeby z urny wyborczej wyszli ci sami reprezentanci polityki niemocy, samolubstwa i nepotyzmu bez końca. Czyż nikt nie wywoła przeciwpartyi, któraby strąciła stare, spruchniałe bożyszcza i wyprowadziła nowe, młode siły? Czyż koniecznie dla tradycyi i dawnych zasług należy wybierać ekscelencye, którym czas ustąpić z pola, bo już nie rozumieją nowych dróg i tętna, co drga w piersi społeczeństwa, chociaż je usilnie przytłumiają? Czyż miasta, a zwłaszcza Lwów, nie potrafiłyby wybrać sobie przedstawicieli, którzyby wzmocnili bardzo szczupłe w Kole polskiem grono ludzi postępu, energii i czynu?

Leszek.

STRACH

z opowiadań *)

Guy de Maupassant'a.

Po obiedzie wyszliśmy na pokład.

Przed nami rozścielało się morze Śródziemne, po którego powierzchni najlżejszy nie przesunął się dreszczyk. Olbrzymi statek posuwał się, rzucając ku zasianemu gwiazdami niebu kłęby czarnego dymu; a za nami—woda zupełnie biała, wzburzona szybkim pędem ciężkiej machiny, bełkotana śrubą, pieniła się, zdawała się skręcać, a mieniła tyloma blaskami, jak gdyby wrzało odbite w niej światło księżyca.

Było nas sześciu, czy ośmiu; spokojni, zachwyceni spoglądaliśmy w stronę Afryki, ku której płynęliśmy. Kapitan, palący wraz z nami cygaro, rozpoczął na nowo po obiednią gawędę.

— O tak, miałem wtedy strach! Okręt mój przebity skałą pozostawał sześć godzin na morzu, rzucany falami. Szczęściem jakiś węglarz angielski spostrzegł nas ku wieczorowi i zabrał.

Na te słowa tęgi jakiś mężczyzna, o twarzy spalonej, a nie surowej, jeden z tych, od których czuć długie wśród niebezpieczeństw podróże, a w których spokojnem oku głęboko odbija się coś ze strasznych scen, jakich byli świadkami — jeden z tych, których zgaduje się odwagę, przemówił po raz pierwszy:

— Powiadasz, kapitanie, iż miałeś nie mało strachu; nie wierzę temu wcale. Mylisz się co do słowa i wrażenia, jakiego doznałeś. Człowiek energiczny niema strachu nigdy wobec nagłego jakiegoś niebezpieczeństwa. Doznaje on wzruszenia, wstrząśnienia, męki; ale strach, to co innego.

Kapitan śmiejąc się dorzucił:

— Gdzie tam! Powiadam panu na seryo, żem miał strachu niemało.

Na to człowiek o cerze bronzowej spokojnym odrzekł głosem:

— Pozwólcie mi panowie wytłomaczyć się nieco. Strach (a ludzie nawet najśmielsi bać się mogą) — to coś okropnego, wrażenie okrutne, niby rozkład ducha, gwałtowny spazm myśli i serca, którego samo wspomnienie przejmuje męczącym dreszczem. Otóż człowiekowi śmiałemu nie zdarza się to nigdy, ani przed szturmem, ani przed nieuniknioną śmiercią, ani też przed wszystkiemi znanemi formami niebezpieczeństwa: zdarza się zaś w pewnych niezwykłych okolicznościach, pod pewnymi tajemniczymi wpływami, wobec nieokreślonego ryzyka. Prawdziwy strach jest czemś w rodzaju dawniejszej fantastycznej trwogi. Człowiek, który wierzy w powracających z tamtego świata, a któremu wyda się, że spostrzegł jakieś widmo w nocy, musi doznawać strachu w najgwałtowniejszej jego potędze.

Jam doznał strachu w biały dzień dziesięć lat temu blisko. Ostatniej jeszcze zimy, w jedną noc grudniową, odczułem go także.

A jednak niemało przeszedłem wypadków, niemało awantur, grożących mi śmiercią. Często się biłem. Złodzieje mię na śmierć zostawiali. Jako powstaniec skazany byłem w Ameryce na powieszenie, a w Chinach na rzucenie do morza. Ilem razy czuł się zgubionym, tyle też godziłem

---

*) Zbiór tych opowiadań wyszedł pod nagłówkiem: *Contes de la becasse.*

LISTY KRAKOWSKIE.

11 kwietnia.

Święta wielkanocne stanowią corocznie wyrazistą przerwę w zewnętrznem życiu Krakowa. Na tydzień lub dziesięć dni przed wielką niedzielą—milknie i chowa się po kątach wszystko, co świeckie, a troska o zbawienie dusz zajmuje plan pierwszy. Przedstawiciele „zdrowej, rozumnej“ polityki, którzy przez cały rok piórem i ustami, z katedry i mównicy głosili swe nauki, zamieniają się w pokorne audytoryum, zgromadzone około rekolekcyjnej ambony. Kaznodzieją bywa wyłącznie niemal członek Towarzystwa Jezusowego, bo od lat paru ustaliło się tu przeświadczenie, iż z pośród wszystkich powołanych, o. o. Jezuici umieją najlepiej przygotować do spełnienia wielkanocnych obowiązków. Z żalem tylko opieram się chęci opisania tej kampanii przeciw całorocznym grzechom powszednim i śmiertelnym, bo jest w tem coś czysto krakowskiego: oddzielenie się różnych klas społecznych i towarzyskich, tak ściśle, jak na rautach przestrzegane. Porzucam jednak miły półcień sklepionej nawy kościoła św. Barbary, pomijam opisy „grobów,“ wykaz godzin kwesty kościelnej tej lub owej pani, widok pogrążonych w pobożnem rozpamiętywaniu hrabiów, panów, profesorów, filarctów, dewotów, prezesów i dyrektorów—nie dzielę się nawet z czytelnikami w sposób idealny i nieco spóźniony wielkanocnem jajkiem, lecz ograniczam się tylko do powtórzenia, iż święta minione przerwały na kilka tygodni w Krakowie ruch umysłów, tak silnie rozbudzony sprawą pomnika Mickiewicza i przewrotami wśród młodzieży akademickiej.

Co do ostatniej—przypominam, iż prawie niechybnie wisi w powietrzu rozwiązanie się Czytelni akademickiej—stowarzyszenia istniejącego od lat wielu, poważanego... nawet w komitecie pomnika Mickiewicza, stowarzyszenia, które skupiło w swem łonie wszystkie ruchliwsze i niezależniejsze siły młode i posiada wewnętrzne warunki do świetnego rozwoju. A jednak młodzież sama prawie życzy sobie tej katastrofy. Powód do tego stary, jak świat, a raczej młodszy od niego o lat kilkadziesiąt, bo datujący się od chwili, kiedy między współcześnie żyjącymi ludźmi znalazła się poważna różnica wieku: senat uniwersytecki żąda, by młodzież postępowała za jego radą i wskazówkami, ona zaś pragnie postępować według własnego, niezawisłego zdania. Że wyjściem z tej sprzeczności może być jedynie rozwiązanie dobrowolne lub przymusowe Czytelni—to jasne a zwłaszcza wobec drakońskiej instrukcyi, jaką senat dał Czytelni a równocześnie wszystkim stowarzyszeniom akademickim. Według tego zakazu młodzież nie może uczynić nic bez jego wiedzy i zezwolenia. Potężną podwaliną dla tych nowych stosunków stało się rozporządzenie policyi, które uwiadamia przewodniczącego Towarzystwa Bratniej Pomocy, iż wszyscy prelegenci, uproszeni o odczyty publiczne na dochód Towarzystwa, obowiązani są—w razie, gdyby nie byli sami profesorami uniwersytetu—uzyskać pozwolenie senatu dla przedmiotu i treści swego wykładu.

Różnice między pokoleniem nauczającem a uczącem się są jaskrawe, jak nigdy przedtem. Profesorowie działają w dobrej wierze, w przekonaniu, iż spełniają *opus boni viri*, że przez nałożenie kagańca ratują młodzież od zatraty ideałów narodowych i etycznych; ogół zaś akademików—z wyjątkiem niewielu—przypisuje im bez ogródek złą wolę.

Że jednak po za granicami przekonań profesorowie (acz nie wszyscy) żywią ku młodzieży uczucia bardzo przychylne, dowodzi tego pomyślny rozwój nowego stowarzyszenia p. t. *Zdrowie*. Jest to kuchnia akademicka, kierowana przez samych studentów, mająca dostarczać pokarmu zdrowego a taniego. Nie obliczona na zyski, lecz na wygodę członków, a nadto statutem obowiązana do wspierania niezamożnych—ma ona przed sobą przyszłość pożyteczną i piękną. Pierwsze kroki stowarzyszenia stawiane były po różach: profesorowie uniwersytetu i akademii technicznej stali się najgorliwszymi jego doradcami i opiekunami, młodzież zamożniejsza również nie szczędzi grosza a publiczność coraz chętniej słucha wezwań o poparcie i pomoc. Za parę miesięcy rozpocznie ono swą działalność, zwróconą głównie przeciw suchotom kieszeni i katarom żołądka—a może też ułatwi warunki utrzymania się, uratuje niejeden słaby charakter od szukania w służalstwie opieki przed walką o byt.

Zdrowie nie zastąpi jednak Czytelni, choćby już dlatego, że z istnieniem jej jest niemal związany udział przedstawicieli młodzieży w komitecie pomnika Mickiewicza—a obecnie właśnie na nich dużo liczy opinia publiczna. Akademicy krakowscy nie zabrali dotąd głosu w grzmiącym okrzyku protestu przeciw wyrokowi konkursowemu. Spodziewać się przeto godzi, iż na pełnem posiedzeniu komitetu, (16 kwietnia) — czterej z nich zaznaczą zdanie młodzieży. Sposobności nie braknie, bo przedmiotem obrad będzie zatwierdzenie uchwały *jury*, oraz rozstrzygnięcie sprawy projektu Dykasa. Posiedzenie to prawdopodobnie uwzględni słuszne żądania ogółu. Chociaż wybrane kółko sędziów zmawia się na tajnych zebraniach, by z upokorzeniem wrzawy ulicznej w całej sile uchwały swe uratować, z pewnością żaden z nich nie będzie miał odwagi przywiązać mysią łapką dzwonka do ogona kota-opinii i skończy się jak—w bajce. O ile też mogłem wyrozumieć z prywatnych oświadczeń kilku tutejszych członków komitetu pomnika, wielka część tego ciała podziela powszechne niezadowolenie, reszta zaś pewnie nie ośmieli się pomiatać dla „pięknych oczu jury“ opinią, która tak groźnie upomniała się o należne sobie prawa. Pocieszającym jest objaw, iż z chwilą ogłoszenia protokółu obrad komisyi, osobistość i projekt Dykasa poszły na drugi plan, a wina spoczęła tylko na złych sędziach. Nikt też nie żąda tu już w cukierniach „Dykasówki,“ ani nie zanudza znajomych dowcipami na temat laureata.— Co więcej—rozeszła się nawet wieść, iż Dykas, rozjątrzony urąganiem ludzkiem, własną ręką zdruzgotał swój projekt, nie szczędząc ani figury wieszcza, ani przyszłości, przeszłości i innych załączników. Że jednak pogłoska rozeszła się dnia 1 kwietnia na *prima aprilis*, przeto nie bardzo temu wierzono i cała rzecz okazała się równie kłamliwą—jak plotka, iż prof. St. Tarnowski ma w tych czasach wygłosić odczyt o czterech możliwych sposobach zakończenia *Potopu* Sienkiewicza.

Mieliśmy też sprawę kamei. Małe kółko stronników Szmida Ciążyńskiego, kupca i amatora starożytności, przeceniwszy w tutejszych i warszawskich pismach wartość jego zbiorów, potrafiło przeprowadzić w Radzie miejskiej sztuczną większością głosów zakupno ich do Muzeum narodowego. Nie ma nikogo, coby jasno nie widział, że zbiór kamei i gemm nie stoi w żadnym związku z zadaniem gromadzenia utworów sztuki polskiej, jakiem statut dla Muzeum narodowego się kieruje; a jednak nabyto kamee za roczną, dożywotnią rentę 3,600 złr., nie porachowawszy nawet, czy one tyle są warte. Mogłoby to być zresztą rzeczą obojętną, skoro miasto ma ochotę płacić komuś tę sumę, gdyby nie słuszna obawa, że zbraknie mu pieniędzy, skoro się zdarzy zbiór, mający istotny związek z dziejami polskiej sztuki, i myśl,

---

się ze swym losem bez rozrzewnienia, bez żalu. Ale, strach, to co innego. Jam go przeczuł w Afryce, chociaż on jest dzieckiem Północy. Słońce rozprasza go, jak mgłę. Zauważcie to dobrze, panowie. U ludów wschodnich życie uważa się za nic; na wszystko są zdecydowane; noce jasne nie mają swych legend, w umysłach niema też ponurych tych obaw, jakiemi są przepełnione głowy w krajach zimnych. Na wschodzie można spotkać popłoch, ale o strachu nie wiedzą.

A więc, co mi się zdarzyło na owej afrykańskiej ziemi?

Podróżowałem wzdłuż górzystych, piaszczystych morskich wybrzeży na południu Ouargla. Jest to kraj jeden z najdziwniejszych na świecie. Znacie nieprzerwany piasek nieskończonych, nadbrzeżnych płaszczyzn oceanu. Otóż pomyślcie sobie, iż ten sam ocean stał się piaskiem w chwili huraganu; wyobraźcie sobie spokojną burzę nieruchomych fal z żółtego pyłu: wysokie jak góry, nierówne, różnorodne, wybujałe jak rozkiełznane morskie bałwany, tylko większe jeszcze, a jak mora prążkowane. Na to morze wściekłe, nieme i nieruchome, rozpalone słońce południa leje żar swój nieubłagany. Trzeba się wdrapywać na te złotopopieliste fale, schodzić i wdzierać na nowo, bez przerwy, bez odpoczynku i bez cienia. Konie chrapią, zapadają po kolana i ześlizgują się z góry.

Było nas dwóch, starych przyjaciół, z ośmioma spahisami, czterema wielbłądami i tylu wielbłądnikami. Przygnębieni upałem, zmęczeniem, wysuszeni pragnieniem, jak ta rozpalona pustynia, nie mówiliśmy wcale. Nagle jeden z ludzi krzyknął — wszyscyśmy się zatrzymali i pozostali jakiś czas nieruchomi, zdziwieni niewytłomaczonem zjawiskiem, znanem podróżnikom tych okolic.

Gdzieś, koło nas, w kierunku nieokreślonym bębnił tajemniczy dobosz; uderzał wyraźnie, już silniej, już słabiej, zatrzymując się i znowu rozpoczynając fantastyczną swoją ruladę.

Arabi przerażeni spoglądali na się wzajemnie; a jeden przemówił w swym języku: „Śmierć jest nad nami.“ I oto w tejże samej chwili towarzysz, przyjaciel, brat mój prawie, upadł z konia zabity słonecznym atakiem.

Podczas dwóch godzin, kiedym napróżno starał się go uratować, niepochwytne to bębnienie cały mój słuch wypełniało swym szumem jednostajnym, przerywanym i niepojętym; i czułem, jak strach dobierał się do mych kości, prawdziwy strach, strach wstrętny, wobec drogiego mi trupa, w tej jamie rozżarzonej słońcem, między czterema piaszczystymi górami, podczas gdy echo nieznane donosiło nam, o dwieście mil od ostatniej wioski francuskiej, przyspieszone bicie bębna.

Tego dnia zrozumiałem, co znaczy bać się; innego razu poznałem to jeszcze lepiej...

Kapitan przerwał opowiadającemu:

— Przepraszam pana, ale ów bęben? Cóż to być mogło?

Podróżnik odpowiedział:

— Nic o tem nie wiem. Nikt nie wie. Oficerowie, zaskoczeni nieraz tym szumem szczególnym, przypisują go echu wzmocnionemu, nadętemu wzgórz falowaniem, echu uniesionych wiatrem ziarnek piasku, trących się o pęki wyschłych traw, ponieważ spostrzegano zawsze, iż zjawisko to powtarza się w sąsiedztwie drobnych roślin, spalonych słońcem i suchych jak pergamin.

Byłoby to w takim razie pewnem słuchowem złudzeniem. Nic więcej. Ale dowiedziałem się o tem dopiero później.

ileby to zyskała sztuka nasza, jeżeliby te pieniądze użyte były na zakupienie dzieł dzisiejszych artystów malarzy i rzeźbiarzy. Uczuciem tem kierowali się radcy przeciwni kameom—niestety, mniejsi liczebnie. Ostatecznie je nabyto, dla ocalenia honoru tych kilku panów, którzy pierwsi zawarli w Wiedniu ugodę z p. Ciążyńskim, sprowadzili go przed dwoma laty do Krakowa, wyrobili mu rozgłos dobroczyńcy narodu i kazali czekać na miejscu. Uskutecznili to przyjaciele ich z Rady miejskiej z niemałą zręcznością. Nawiasowo mówiąc, nie jest to zbiór bardzo cenny, gdyż brak mu starożytnych, ważnych archeologicznie i artystycznie zabytków; przeważnie składa się z utworów ośmnastego wieku, a więc czasów, które wydały naśladowców tej drobnej sztuki starożytności. Jeśli zaś zbiory tak znakomite, jak wiedeński i berliński, nie obchodzą dziś nikogo, to tem mniej uwagi zwrócą na siebie drobne kamee i intaglia zakupione dla Muzeum narodowego, i mimo zapewnień recenzentów ludzie obojętnie mijać je będą wobec zgromadzonych obrazów Matejki, Siemiradzkiego i całego szeregu innych mistrzów.

M.

SZKOŁA ROMANTYCZNA WE FRANCYI *).

Krytyka krytyki pozbawioną jest wszelkiej racyi a nawet niemożliwą zgoła o tyle przynajmniej, o ile nie jest zasadniczem przeciwstawieniem jednej metody drugiej, albo polemiką naukową, specyalną, t. j. sprostowaniem pewnych niedokładności lub uzupełnieniem drobnych szczegółów. Metoda umiejętna, jakiej Brandes używa z mistrzostwem, która zresztą nie jest jego wyłączną własnością, nie spotyka poważnych zarzutów, i panuje dziś niepodzielnie. Jedyną opozycyę okazuje jej chyba rutyna szkolarska patentowanych i nie patentowanych profesorów, niezdolnych wznieść się na wyżyny uogólniającego, filozoficznego poglądu. Znawcy literatury potrafili by może w części faktycznej dzieła Brandesa to lub owo sprostować, ale poprawki takie nie podważają w niczem założeń i wniosków autora, zwłaszcza, że sam on nie ma bynajmniej zamiaru kreślić dokładnych dziejów romantyzmu, lecz zaznacza tylko główne jego *prądy*.

Dzieło Brandesa o szkole romantycznej francuskiej, którą nazywa on „największą szkołą literacką wieku naszego,“ jakkolwiek przedstawia skończoną w sobie całość, stanowi jednak dalszy ciąg jego „Głównych prądów literatury XIX wieku.“ Z tego względu geneza romantyzmu zaznaczoną jest tylko kilku rysami. Natomiast szczegółowo bardzo analizuje autor grunt, na którym wzeszły ziarna rzucone przez Rousseau'a, Chateaubriand'a, literaturę emigracyjną itd. Posiew ten, użyźniony krwią wojen napoleońskich, ogrzany ciepłem idej humanitarnych XVIII wieku, opromieniony blaskiem wielkich, albo przynajmniej świetnych czynów, wzmocniony ożywczym powiewem obcych wpływów — wybujał wspaniale, pomimo dusznej atmosfery rządów Restauracyi i Królestwa zdrowego rozsądku. Owszem do tej atmosfery perfum i kadzidła, któremi starano się zagłuszyć woń zgnilizny, do atmosfery kramu, napełnionej zapachami korzeni i towarów — młode pędy romantyzmu wniosły świeży zapach kwiatów polnych, zdrowe powietrze gór i lasów i rozrastając się coraz szerzej i wyżej, rozsadziły wreszcie cieplarniane ramki. Ten zuchwały wzlot myśli i uczucia, jaki cechuje romantyzm francuski, porównać można do gwałtownego wichru, który łamie i obala wszystko, co spotka po drodze, ale zarazem czyści i odświeża na okół atmosferę, rozpraszając trujące wyziewy. „Szkoła romantyczna— powiada Brandes—odnowiła styl poetyczny we wszystkich dziedzinach, rozszerzyła w niewidzianych dotąd rozmiarach zakres przedmiotów sztuki, zapłodniła ją wszystkiemi współczesnemi ideami społecznemi i religijnemi, przeobraziła lirykę, dramat, romans, nowellę, krytykę, ożywiła na nowo nauki historyczne i tchem ożywczym wionęła na politykę.“

Śmiałemu, swobodnemu, polotnemu umysłowi Brandesa podobać się musiała ta epoka szerokiej myśli, uczuć nie skrępowanych i zdrowej, młodzieńczej siły; to też do dzisiaj jest on najlepszym jej krytykiem i historyografem. Uczony, poważny ale mieszczański Taine odmalowałby ją zapewne plastyczniej, ale nie potrafiłby tak wiernie ująć jej charakteru. A oto głównie właśnie chodzi; bo pomnik literacki posiada wtedy tylko trwałość, kiedy twórca jego „świadomie lub nieświadomie przejęty był do szpiku kości duchem czasu, gdyż duch ożywia i od zguby ochrania.“ Dla tego to Brandes prostuje krzywdę, jaką wyrządzono romantykom francuskim, mianując ich utwory nazwą poezyi tendencyjnej „gdyż to, co tutaj jako tendencyę potępiano, nie było niczem innem tylko duchem wieku, jego ideami, a te są zawsze przecież kwiatem prawdziwej poezyi.“ Autor zaznacza trzy zasadnicze kierunki romantyzmu we Francyi: dążenie do przedstawienia wiernego rzeczywistości, czy to w przeszłości dziejowej czy w życiu współczesnem, dążenie do wykończonej formy i wreszcie w zapał reformatorski do wielkich idej religijnych i politycznych, dążenie etyczne w dziedzinie sztuki.“ Kierunki te odpowiadają ściśle kategoryom prawdy, piękna i dobra.

Z zamiłowaniem, obszernie bardzo kreśli Brandes charakterystykę osoby i działalności Sainte-Beuve'a, protoplasty nowoczesnej krytyki. Tutaj mimochodem wypowiada on swoje własne poglądy na krytykę i charakteryzując Sainte-Beuve'a— charakteryzuje sam siebie. Oto np. ustęp, który bez najmniejszej zmiany zastosować można do niego. „Jego krytyka podobnie jak poezya przedmiotowi swemu organiczne życie nadaje. Nie rozbija materyału na kamyki lub gruz ale wznosi z niego budowlę. Nie rozbiera części składowych duszy ludzkiej, abyśmy poznali całą maszynę, nie wiedząc jak ona wygląda, gdy jest w ruchu—lecz pozwala nam wejrzeć w jej pracę tak, iż badając mechanizm, widzimy ogień, który wytwarza parę w ruch wprawiającą, i słyszymy warkot pracującej maszyny.“

Ale jest jedna wybitna różnica między krytyką Sainte-Beuve i Brandesa. Obaj oni nie oddzielają książki od autora, obaj starają się „nożem sekcyjnym dotknąć szwu, gdzie znajduje się przejście od duszy do talentu,“ ale Brandes nie poprzestaje na tem. Wykazuje on ścisłą zależność dzieła od autora, ale tego ostatniego uważa jako wytwór właściwej epoki. W ten sposób unika on błędu tych krytyków, którzy chociaż przyjęli nową metodę, ale stosowali ją zbyt jednostronnie, bądź to biorąc pisarza w oderwaniu od warunków miejsca i czasu, bądź też po za prądami epoki nie dostrzegając postaci z krwi i ciała.

Uwydatniając „główne prądy“ literatury romantycznej we Francyi, Brandes wspomina tylko o wybitniejszych jej przedstawicielach, pomijając drugorzędne osobistości. Przez to dzieło jego nabiera pewnej koncentracyi, i myśl główna występuje wyraźnie, nie plącząc się w niepotrzebnych szczegółach. Oprócz Wiktora Hugo, Musset'a i George Sand'a bardzo

*) W tłomaczeniu polskiem, wydanie Spółki nakładowej.

Przechodzę do drugiego mojego wzruszenia.

Było to ostatniej zimy w lesie na północy Francyi. Noc zapadła o dwie godziny wcześniej, na tyle pochmurnem było niebo. Za przewodnika miałem włościanina, który szedł obok mnie maleńką drożyną pod sklepieniem sosen; rozkiełznany wicher wyrywał z nich przerażające wycie. Między ich szczytami widać było biegnące w bezładzie chmury, chmury spłoszone, co zdawały się uciekać przed jakimś postrachem. Od czasu do czasu, pod olbrzymią tego huraganu siłą, cały bór uchylał się w jedną stronę z jękiem cierpienia; mróz mię ogarniał mimo krok szybki i ciepłe moje ubranie.

Mieliśmy wieczerzać i nocować u leśnika, którego chałupa niedaleko już była. Udałem się doń na polowanie.

Przewodnik mój niekiedy podnosił oczy i szemrał: „Fatalna pogoda!“ Potem zaczął mi opowiadać o ludziach, do których właśnie szliśmy. Ojciec dwa lata temu zabił polującego ukradkiem myśliwca i od tej chwili stał się ponurym, jakby prześladowany wiecznie jednem tem wspomnieniem. Dwaj jego synowie, żonaci, wraz z nim mieszkali.

Ciemno było zupełnie. Nie widziałem nic przed sobą, ani w koło siebie, a nieustanne to bicie się drzew o siebie, ścieranie się ich gałęzi wypełniało noc jednym nieprzerwanym hałasem. Nakoniec ujrzałem światło, a wkrótce mój towarzysz stukał już do drzwi. Przeraźliwe kobiece krzyki były pierwszą odpowiedzią. Następnie, głos męski, głos stłumiony, zapytał: „Kto tam?“ Przewodnik mój powiedział swe nazwisko. Weszliśmy. To był obraz nazawsze niezapomniany.

Siwowłosy starzec z szalonem spojrzeniem, z nabitą strzelbą w ręku, czekał nas stojąc w pośród kuchni, podczas gdy dwóch jak dęby chłopów, uzbrojonych w siekiery, strzegło drzwi. W ciemnych kątach dojrzałem dwie klęczące, twarzą ku ścianie zwrócone kobiety.

Porozumiano się. Stary postawił broń swoją przy murze i nakazał przygotować mi pokój; potem, ponieważ kobiety nie ruszały się wcale, przemówił do mnie raptownie:

— Widzisz pan, dwa lata temu, tej samej nocy zabiłem człowieka. Zeszłego roku zjawił się tu u mnie. Dzisiaj czekam nań jeszcze.

Potem dodał tonem, który mię nieco rozśmieszył.

— Dlatego niespokojni jesteśmy.

Dodawałem mu, jak mogłem, otuchy a w gruncie rzeczy mocno byłem zadowolony ze sposobności przyjrzenia się tej zabobonnej trwodze. Opowiadałem przeróżne historyjki i udało mi się prawie uspokoić wszystkich.

Koło ogniska stare jakieś psisko, ślepe prawie a wąsate, jedno z tych, co nam przypominają kogoś ze znajomych, drzemało, ukrywszy łeb między łapy.

Na zewnątrz rozwścieklona burza uderzała o małą chałupę, a przez wązką szybę, rodzaj okienka koło drzwi umieszczonego, przy błyskawicznem świetle widać było całe masy drzew, potrącanych we wszystkie strony wiatrem.

Pomimo me wysiłki czułem dobrze, jak głęboka opanowała tych ludzi trwoga; ile razy tylko przestawałem mówić, wszyscy przysłuchiwali się czemuś daleko. Znużony głupią tą obawą chciałem już poprosić o miejsce, gdziebym się mógł położyć, kiedy nagle stary leśnik porwał się ze swego krzesła i uchwycił broń na nowo, jąkając obłąkanym głosem: Oto on! Oto on! Słyszę

wiele miejsca poświęca on uznanym ojcom dzisiejszego naturalizmu Beyle'owi i Balzakowi. Niemniej szczegółowo rozbiera Merimée'go i Gautier'a, którzy apostołowali gorliwie teoryę sztuki dla sztuki. Uwagi Brandesa w tym przedmiocie warte są powtórzenia, chociażby *ad usum* naszych estetyków. Zasada: sztuka dla sztuki „jest prawdziwą i niezaprzeczoną w tem znaczeniu, że sztuka nie podlega tym samym prawidłom przyzwoitości, które słusznie panują nad życiem, a tem mniej takim, co się niesłusznie wdarły do niego..." „ale sztuka, co obraca się jedynie dokoła własnej osi, z konieczności staje się w końcu jałową i czczą. Natchnienie czyste stwarza Galateę z marmuru, jedynie zaś prąd myśli czasowych jest duchem bożym, który w posąg życie wlewa." Prawdy tej nie uznaje naturalizm powieściowy i artystyczny, to też jego utwory ze swą wiernością prawdzie i opieraniem się na dokumentach stają się najzwyklejszą sztuką dla sztuki. Tylko gdy pierwsi wyznawcy tej zasady lubowali się w pięknie, zwyrodniali ich następcy grzebią się w błocie. Teofil Gautier i Merimée na równi z Beylem i Balzakiem a może więcej od nich mogą rościć sobie prawo do ojcowstwa naturalizmu—chociaż będzie to ojcowstwo nieprawe.

Dodać należy, że Brandes oddaje słuszność wielkiemu talentowi Dumasa ojca, tak pogardliwie sponiewieranemu przez wielu krytyków, chociaż przyznaje, że talent ten zmarnował się—i spowszedniał. Tryumf mieszczaństwa uwydatniony w reakcyi klasycyzmu na scenie i w t. z. szkole zdrowego rozsądku" znieprawił i spospolitował nietylko wiele talentów ale i wiele stron romantyzmu. Inna epoka przyniosła z sobą inne dążenia, które wcieliły się w odmiennych formach. „Zaszło słońce romantyki francuskiej, ale dopóki Wiktor Hugo żyje, wieczorną zorzę jej jeszcze na widnokręgu widzimy."

Autor pominąć musiał całe dziesiątki imion głośnych i znanych; w pokoleniu ówczesnych pisarzy wyróżnia on dwie grupy: „mała pisząca dla całego świata i większa, która tworzyła dla Francyi." Pierwszą jedynie pragnął on przedstawić. Poświęcił wszakże cały rozdział pominiętym i zapomnianym z czego tak się tłomaczy: „Geniusze przedstawiają romantyzm w jego sile, we względnem zdrowiu, dzieje zaś choroby można dopiero śledzić na tych zrozpaczonych biedakach." Dla zupełności obrazu rozdział ten był koniecznym, bardziej potrzebnym niż sylwetki drugorzędnych działaczy, którzy mniej szczęśliwie tylko powtarzali hasła swych wodzów.

W jędrnym zarysie przedstawiony został także ruch idej socyalno-politycznych, których odgłosy rozbrzmiewały w poezyi. Dla czytelników polskich dzieło Brandesa posiada specyalne jeszcze znaczenie. W umysłowości naszej a zwłaszcza w krytyce tak odzwyczailiśmy się od szerszych poglądów, od jasnych uogólnień, od śmiałych polotów, że dla wzrostu bezkrwistych, skarłowaciałych płodów naszej gleby potrzebnem jest koniecznie odświeżenie się prądami świeżego powietrza. Duńscy czytelnicy oryginału przebywają w takiej samej stęchłej, zadusznej atmosferze, tak samo mrużą oczy na światło i lękają się zawiania. Brandes porzucił metodę ostrożnego otwierania lufcików dla wentylacyi, śmiało uderzył pięścią w szybę i wpuścił cały strumień ożywczych prądów. Przekład polski daje i nam możność odetchnąć pełniej i swobodniej, powietrzem zdrowem i czystem.

Tłomaczenie polskie oddaje wiernie myśl i wdzięk oryginału, chociaż zauważyliśmy pewne ślady pośpiechu w robocie. Wobec zainteresowania się osobą Brandesa w danej chwili—niepodobna zresztą za ten pośpiech winić tłomacza i nakładców.

Wiat.

DZIEJE KAPŁAŃSTWA.

I.

W dziejach wszystkich bez wyjątku narodów są epoki, w których stan kapłański przeważny wywiera wpływ na sprawy społeczne. Wpływ ten gdzie niegdzie dochodzi do władztwa nieograniczonego, w obronie którego duchowieństwo często zacięte stacza walki, pokonane zaś, nie zrzeka się roszczeń swoich.

Zjawisko to, lubo w rozmaitych formach, stale jednak i niezmiennie powtarzające się na najodleglejszych krańcach ziemi, głębiej patrzących badaczy pobudza do szukania źródeł owej jednostajności i oraz do bliższego poznania związku, w jakim ona zostaje z rozwojem życia ludzkiego wogóle.

Pracę w tym kierunku na szerszą skalę podjął niedawno jeden z uczonych niemieckich Juliusz Lippert, którego poprzednie pisma z dziedziny historyi cywilizacyi i religii: („Religie ucywilizowanych ludów Europy," „Chrześciaństwo, wiara i zwyczaje ludowe," „Kult duszy") przychylnie bardzo przez krytykę zostały przyjęte *). W dwutomowem swem, ośmdziesiąt przeszło arkuszy druku wielkiej ósemki obejmującem dziele kreśli obfity w szczegóły obraz powstania i stopniowego kształtowania się instytucyi kapłanów u wszystkich ludów świata, począwszy od napółdzikich indyan amerykańskich i zulusów w Afryce, a skończywszy na ucywilizowanych wyznawcach wiary Chrystusowej. Wykazuje, jak każda z pojedynczych faz tego długiego procesu w swoim czasie i w właściwym sobie zakresie potężnie oddziałała na rozwój ludzkości, dla dokładniejszego zaś zrozumienia tego „odłamu dziejów cywilizacyi,"—jak sam pracę swoją nazywa—każdą część wykładu o kapłaństwie danego plemienia lub szczepu poprzedza wyczerpującym obrazem pojęć religijnych i form obrzędowych, wśród których ono się zrodziło.

Nowość przedmiotu i niezmierne bogactwo treści skłania nas do poznajomienia czytelników *Prawdy* z tem poważnem i zajmującem dziełem. Rozpada się ono na dwie części, z których pierwsza ma napis „kapłaństwo w dziedzinie bezcywilizacyjnej" (Unkultur), drugi „kapłaństwo w dziedzinie cywilizacyi." Do pierwszej kategoryi autor zalicza: Amerykę z wyłączeniem niektórych części jej lądu stałego, Afrykę z wyłączeniem starożytnego Egiptu, okolice oceanu południowego, oraz kraje zamieszkałe przez szamanitów w Azyi i Europie północnej. Do drugiej: starożytny Meksyk, Peru i Amerykę środkową, Egipt dawny, Palestynę, kraje pomiędzy Jordanem a Indem (Arabia, Mezopotamia i Persya), Indye przed Budaizmem i po Budaizmie, Tybet, Chiny, Japonią, świat klasyczny (Grecya i Rzym), tudzież ziemie celtów, słowian i germanów. Rozpatrzywszy obszerne te dziedziny, przedstawia powstanie i rozwój instytucyi kapłańskiej u chrześcian i przy tej sposobności mówi o kościele pierwotnym, papiestwie i zakonach.

Lippert zwraca się najprzód do indyan amerykańskich. U nich, jak wogóle u ludów po-za cywilizacyą stojących, świadomość religijna objawia się rodzajem czci dla wpływów nadzmysłowych. Na dnie tej czci kryje się tam zawsze obawa, nadzmysłowość zaś pojętą jest jako duch, jako dusza ludzka od ciała oddzielona. Niewi-

*) *Allgemeine Geschichte des Priesterthums.* Berlin.

---

go!—a kobiety rzuciły się do kątów na kolana, zakrywając sobie twarze; synowie uchwycili za miecze. Zacząłem znowu ich uspokajać, gdy pies uśpiony przebudził się nagle, a podniósłszy łeb do góry, wyciągnąwszy szyję, patrząc w stronę ognia zagasłym prawie swym wzrokiem, zawył przeraźliwie. Oczy wszystkich skierowały się ku niemu, on pozostawał teraz nieruchomy, wyprostowany na swych łapach i znowu wyć zaczął ku czemuś niewidzialnemu, nieznanemu, strasznemu bezwątpienia, gdyż najeżyła się na nim sierść cała. Leśnik wybladły krzyknął: On go czuje! On go czuje! On był tam, gdym go zabił. A kobiety, potraciwszy przytomność, wyć razem z psem zaczęły.

Pomimo woli silny dreszcz mię przebiegł. To przywidzenie zwierzęcia, w tem miejscu, o tej godzinie, wśród tych nieprzytomnych ludzi było przerażającem.

Podczas całej godziny psisko to wyło, nie opuszczając miejsca; wyło niby podczas snu męczącego; a strach, strach okrutny przejmował mię całego; strach czego? Czyż ja wiem? Ale to był strach—i koniec.

Pozostawaliśmy nieruchomi, struchleli, w oczekiwaniu czegoś strasznego, z słuchem wytężonym, z bijącem sercem, przerażeni najmniejszym szumem. A pies zaczął się kręcić po pokoju, obwąchując ściany do koła i skomląc nieustannie. To zwierzę doprowadzało nas do szaleństwa! Nareszcie włościanin, który mię tu przyprowadził, rzucił się na nie w paroksyzmie wściekłej trwogi, a otworzywszy drzwi, prowadzące na małe podwórze, wypchnął je z chałupy.

Tam pies umilkł natychmiast; my zaś zostaliśmy pogrążeni w ciszy jeszcze bardziej przerażającej. Nagle wszyscyśmy drgnęli jednocześnie: coś pełzło koło ściany zewnętrznej niby do lasu; potem przyszło do drzwi, które macało chwiejną ręką; potem nie słychać było nic w przeciągu jakich dwóch minut, które nas pozbawiły ostatecznego rozumu; potem powróciło, zawsze dotykając ściany; poskrobało zlekka, niby dziecko paznogciem; potem nagle, w szybie okienka, zjawiła się jakaś głowa, głowa siwa, z oczami matowemi. Dźwięk jakiś wyszedł z tych ust, dźwięk niewyraźny, żałosne jakieś mruczenie.

Huk gwałtowny rozległ się w kuchni. Stary leśnik wypalił. A synowie rzucili się z pośpiechem ku okienku, które też zastawili stołem, przymocowując jeszcze szafą.

Przysięgam wam, że w chwili wystrzału, któregom nie oczekiwał wcale, doznałem takiego ściśnienia serca, ducha i ciała, że czułem jak mdleję, gotów prawie umrzeć ze strachu.

Zostaliśmy tam do świtu, nie śmiejąc się poruszyć, wymówić słowa, odrętwiali w niewypowiedzianej bezprzytomności.

Nie ośmielono się odbarykadować wyjścia, aż przez szparę dachu przedostał się do wnętrza pierwszy promyk dzienny.

Koło ściany, naprzeciw drzwi, stare psisko leżało rozciągnięte ze łbem kulą strzaskanym. Wylazło ono z podwórza, podkopawszy ogrodzenie.

Człowiek o śniadej cerze zamilkł; potem dodał:

— Tej nocy przecież nie byłem narażony na żadne niebezpieczeństwo; ale wolałbym przejść na nowo wszystkie godziny, w których stawiałem czoło największym niebezpieczeństwom, niż jedną tę sekundę, w której wypaliła strzelba do kudłatej w małem okienku głowy.

---

dzialnej siły przyrodzonej dziki zrozumieć nie może; wyobrażenie o duchu osobistym wywołują w nim wszelkie wypadki śmierci. Widoki wspaniałej natury podzwrotnikowej są dla niego obojętne, ale nagłe zagaśnięcie życia w ciele, które zwykł był zaliczać do swoich, które może zabił w uniesieniu, pobudza go do myślenia. Myśli tedy, że duchy owe, wyswobodzone z więzów powłoki ziemskiej, nabywają jakiejś szczególnej siły, a tchnąc uczuciem zemsty przeciwko tym, którzy przy życiu pozostali i żądne przedewszystkiem krwi ludzkiej—zsyłają na świat cierpienia i plagi najrozmaitsze, zrzucają deszcze ulewne i grady, sprowadzają choroby i śmierć. Obok tego jednak wierzy zarazem, że można sobie pozyskać przychylność tych duchów, a przynajmniej pewien rodzaj wzajemności z ich strony. Do tego celu dąży w swój sposób, starając się ofiarować im to, czego do istnienia potrzebują. Że zaś widzi w nich dusze ludzkie, daje im więc to wszystko, co dusze takie podczas pobytu w ciele (i, rozumie się, na tak niskim poziomie znajdujące się) zadowolnić i rozradować może. Dostarcza im obficie jadła, napoju, tytoniu, trochę wódki i od czasu do czasu urządza igrzysko wesołe. Obowiązek zaś zaopatrywania duchów w to wszystko, czyli kult w znaczeniu dzisiejszem, przenosi na oddzielną kastę ludzi powołanych lub zmuszonych do zajęć podobnych. Oto mniej więcej jest źródło funkcyj kapłańskich. Funkcye te w najrozmaitszych przejawiają się formach, które znów głównie się różnią ze względu na pojęcia o siedlisku, a raczej o sposobie życia duchów. Siedlisko to, czyli wcielenie ducha (Fetysz) upatrują indyanie już w grobach i jaskiniach, już w drzewach świętych, już to w ptakach i innych zwierzętach, jak: indyk, gęś, sowa, kruk, niedźwiedź, wilk, bóbr, zając, wiewiórka, bawoł, krokodyl, żółw i wąż, już w rozmaitych przedmiotach, nawet drobnych, jak: w kościach ludzkich, kamykach, szmatach, butelkach, już wreszcie na słońcu, księżycu i gwiazdach. Wskutek jakiej potrzeby i na jakiej drodze wytworzył się pierwotny stan kapłański—orzec trudno. W każdym razie błędnem jest przypuszczenie, jakoby stan ten miał być twórcą obrzędów religijnych; wszędzie bowiem, gdzie w czasach najdawniejszych napotykamy jego przedstawicieli, ci ostatni znajomość obrzędów owych czerpią z istniejącej już i wyrobionej świadomości ludu całego. Początkowo kapłaństwu w tem znaczeniu poświęcają się jedynie ludzie słabi, kalecy, niezdolni do walki o byt z innymi, silniejszymi od siebie członkami hordy, epileptycy, niedołężni, chcący lub zmuszeni żyć cudzym kosztem—i tym podobni. U indyan występują oni przeważnie w charakterze czarowników, posiadających moc leczenia chorób wewnętrznych. Każdą słabość tego rodzaju naiwny czerwonoskóry uważa za opętanie przez złego ducha, a wypędzenie go—za jedynie możliwy sposób uzdrowienia chorego. Jak się to wypędzenie dokonywa—jest tajemnicą kapłanów, którzy odpowiednie przygotowaniem, postami i ucztami umieją zjednywać sobie względy istot niewidzialnych, a nawet czynić je podległemi woli swojej. Zabierając się do takiej kuracyi, kapłan indyjski przy pomocy trunków upajających, dzikich pląsów, wstrętnych wykrzywień ciała i krzyków—zagasiwszy wprzód wszystkie światła w chacie chorego—usiłuje sam siebie wprowadzić w stan konwulsyjnej bezprzytomności. Potem niezrozumiałymi wyrazami przywołuje ducha, przyrządza dlań potrawy różne, układa dary, obchodzi trzy lub cztery razy łóżko pacyenta, ściska mu nos i usta, obdmuchuje czoło, skronie i szyję, głaszcze go ze wszech stron, aż wreszcie wystrasza licho i osadza je w morzu lub na górze jakiej. Jeżeli jednak kuracya się nie udaje lub, co gorzej, chory umiera, kapłan ogłoszony zostaje za nieuka i niedołęgę, a—co najdotkliwsze—bez ceremonii bywa obity. W szczęśliwym wypadku otrzymuje wynagrodzenie za trudy od krewnych chorego, a nadto ci ostatni przynoszą ofiary dziękczynne „Mabojesowi" czyli duchowi duchów. Ofiary te, złożone z najlepszego jadła i napoju, których woń tylko idzie na cześć duchów—nazajutrz po ich wystawieniu spożywa sam kapłan. Tu znajdujemy pierwszą wskazówkę, w jaki sposób ogół pamiętał o potrzebach materyalnych kapłanów. Działalność ich nie ogranicza się na samem leczeniu. Biorąc grzmoty, błyskawice i wogóle wszelkie ważniejsze zjawiska przyrodzone za wypływ gniewu duchów—indyanin wierzy, że kapłan może sprowadzić deszcz, odwrócić błyskawice, przynęcić zwierzynę na polowaniu, zakląć i ubezwładnić węże. Prócz tego dzicy nigdy nie wybierają się na wojnę bez poprzedniego naradzenia się z *piachami* (kapłanami), a nawet i podczas bitwy bez nich obejść się nie mogą. Wykładanie snów i przepowiadanie przyszłości, oraz przyjmowanie młodzieży do związku plemiennego, bądź zaraz po urodzeniu, bądź po przejściu dziecka z pod opieki matki pod władzę ojca, stanowią ważną także i wielce wpływową część atrybucyj kapłańskich.

Opisawszy to wszystko, Lippert zwraca uwagę, że już w najprostszych warunkach, wśród jakich żyją ludy znajdujące się na najniższym szczeblu kultury, spoczywają zarody wielkiej potęgi stanu kapłańskiego. Sięga ona do wszystkich stosunków życiowych, a osobę kapłana otacza tam urok świecący jeszcze po za grobem. W świecie umarłych nawet stoją oni wysoko po nad tłumem, po nad władzcami i naczelnikami. Jedno z plemion brazylijskich wierzy, że kacyki i kapłani. po śmierci z gwiazdy na gwiazdę si[illegible], wesoły prowadzą żywot, podczas gdy ludzie pospolici przykuci są do mogił swoich.

U ludów afrykańskich spotykamy się z temi samemi co u Indyan pojęciami o duchach, to też kapłani-czarownicy, te same co i tam spełniają czynności. Widocznym wszakże tu już jest pewien postęp, objawiający się głównie w dążeniu do wytworzenia stałego kultu religijnego, a tem samom utrzymywania kapłanów kosztem ogółu. Podczas, gdy dziki indyanin przedewszystkiem w razie choroby szuka pomocy swoich „manitu" i jednorazowo, że tak powiem, prywatnymi środkami swymi ich wynagradza, ludy więcej osiadłe i przeważnie z płodów rolnictwa żyjące, na takiej jednorazowej, sporadycznej pomocy poprzestać nie mogą. Według ich pojęcia bóg ziemi za wstawieniem się „singilów" daje deszcz, a że deszcz lub susza równą przynoszą korzyść lub szkodę wszystkim, więc też i wszyscy zarówno do zabezpieczenia owych twórców deszczu, przyczyniać się muszą. Pogląd ten dał początek tak zwanym „świątyniom deszczowym" (w Loango dziś jeszcze istnieje znaczna ich liczba), w których żyjący kapłani hojnie przez panujących są uposażeni, aby za pomocą ceremonij nocnych w porach właściwych sprowadzali deszcz, albo w razie wilgoci nadmiernej wstrzymywali go.

W odróżnieniu od indyan także zaznaczyć tu należy wielki wpływ kapłanów na wymiar sprawiedliwości, wpływ, wykonywany przez wskazywanie winnych na zasadzie wyrzeczeń fetyszów. Specyalne to fetysze, mają dawać swoje wyroki bezpośrednio pod wrażeniem bólu, gdy kapłan na ten cel gwoździem rozpalonym przebija im ciało, lub też pośrednio, gdy obwiniony, zażywszy wobec ludu całego pewną dozę trującej kory drzewnej „cassa" zwanej, umiera lub wychodzi bez szwanku. W południowej Afryce też po raz pierwszy widzimy kapłanów, jako pośredników niezbędnych, we wszystkich niemal stosunkach rodzinnych. Oni (w takich razach „ojcami Lemba," „tata Lemba" zwani) udzielają nowożeńcom pewnego rodzaju ślubu, polegającego na wkładaniu im obrączek miedzianych na palec u ręki prawej i na dawaniu do oplwania wódką fetysza odpowiedniego. Oni zajmują się wykonywaniem operacyi obrzezania młodzieży, bądź zaraz po urodzeniu, bądź po dojściu do dojrzałości, oni obowiązani grzebać umarłych, przy której to czynności charakterystycznem jest to, że przed pochowaniem rozlewają przy trupie trochę oliwy palmowej i kładą kilka muszel, co przypomina już czasy o wiele nam bliższe.

U ludów Australii i Nowozelandyi, na wyspach sandwickich i filipińskich znajdujemy już formalną organizacyę stanu duchowego. Rekrutuje on się z ludzi rodów najrozmaitszych, arcykapłanem jednak może tylko być potomek familii arystokratycznej. Arcykapłan taki jest z kolei drugą osobą po królu. Ważne stanowisko w tych miejscowościach mają — kapłanki.

Ad. J. Cohn.

(D. c. n.).

Literatura czeska.

Jarosław Wrchlicki, **Vittoria Colonna.** Poemat. Z czeskiego przełożył Miriam. Warszawa, 1885.

Płodny w utwory natchnienia wieszcz czeski Jarosław Wrchlicki, odczuwający potrzeby i pragnienia spółczesnej nam doby, obdarzył nas wspaniałym poematem p. t. „Vittoria Colonna," którego przekład polski zawdzięczamy znowu p. Miriamowi.

Za tło obrazu służy epoka odrodzenia, po upadku Carogrodu, kiedy możno rodziny greków bizantyjskich, osiadając pod niebem Italii, zaszczepiły smak piękna klasycznego, zespolonego z żywym wieków średnich romantyzmem Bohaterem tego utworu jest Michał Anioł, który mimo siwizną zaprószonego włosa, zapłonął młodzieńczą do Wiktoryi Colonny miłością. Charakter tego stosunku pozostaje ściśle artystycznym, gdyż rzeźbiarz widzi w pani serca swojego uosobioną ideę piękna, będąco jeno odbiciem niebiańskiego lica madonny, w jakimś obrazie bizantyńskim. Sztuka, według Wrchlickiego, cel swój w własnej chowając istocie, jest chlebem i promieniem niebios, drzewem żywota na mogile ludzkości, wiecznie kwitnącą różą białą z nadziemskich ogrodów, jutrzenką, tęczą lśniącą w nieskończoności, gołębicą unoszącą ideały „w dziobku prostej niewinności," a nawet Bogiem w postaci człowieka, dniem, nocą, życiem i wiecznością...

Pogrążony w głębokim śnie, widzi Michał Anioł wspaniałą świątynię, o której progi rozbijało się morze wszystkich stuleci. Pomiędzy kolumnadami błąkają się cienie minionych epok. Na stopniach w postaci sędziwego ślepca siedzi mityczny Homer i śpiewa. Wśród tych widziadeł Dante świeci słońcem boskości. Artysta to Ugolino w piekle Dantejskiem, otoczony nieprzebytą ciemnią wsteczności, bałwochwalstwa i niewoli. Próżnię swojego otoczenia ożywia wspomnieniami przeszłości, chociaż wiosna życia oddechem róż wolności przez okienko więzienia jego zagląda. To też poeta śpiewa:

> O straszne życie! własne myśli twoje,
> Więżą cię, jako wież głodowych mury!
> Tam geniusz, ówdzie żywot wre ponury,
> Oba o ciebie ciągle toczą boje!

Śpiew poety „mąci chrzest kajdan żałosny" i choćby ludzkość chciał do łona

swojego przytulić, ona „cierniem zrani jego blade skronie.“

I gdy na gorącem czole artysty gniew i nudy zagościły, nieznany śpiew duchów napełniających widzianą przezeń świątynię, natchnął serce jego nowem życiem:

O błogosławieni,
Co ideału drogą szliście sami.
Co w noc, jak gwiazdy, świecicie myślami,
Którym laur w ciernie na skroniach się mienił!
Jak wschód posępną siedzibę sokolą
We mgłach oblewa całą rzeką złota,
Tak Pan dźwięk waszej lutni i cios dłota
Otoczy wielką sławy aureolą.

Jakby z grobów otchłani zbudzony śpiewem tym artysta, czuje jednak w sercu samotność. Gdy noc zasłoną mroku ziemię okryło, Michał Anioł w samotnej izdebce, przy świetle migotliwej lampy, zagrzewa się do pracy słowami:

Dalej między ideały
Dziś Promoteusz, nie czuję swej skały,
Czuję, ze człowiek zbawić siebie może.

Układając w pracowni członki trupa, pragnie wlać w niego zdroje życia, a gdy sobie przypomniał pełne boskości lice madonny, widniejące ze złotego tła obrazu bizantyńskiego, radby rzucić dłuto, aby uszczknąć różę wśród cierni żywota. Zbolałe serce jego porównywa wieszcz czeski do onej góry, gdzieś w dalekiej północy, uwieńczonej skrystalizowanymi lodowcami, po nad którą wznosi się płomienna zorza i okrywa ją płaszczem purpurowym miliona blasków, barw i świateł, lecz gdy zorza gaśnie

i skała znów goła,
Znów strzela w niebo białą czaszką swoją,
Chmury zawojem posępnym ją stroją,
Ze szczytu krացząc sęp o zdobycz woła.

Pod wpływem ogni wewnętrznych, topnieją śniegi i lodowce. Góra staje się wulkanem, obejmującym żarem płomieni słabe serce artysty, aby je w proch zamienić.

Bogate i śmiałe figury retoryczne, porywając wyobraźnię czytelnika, jako iskry meteorów, zapalają w uczuciu jego przygaszone porywy piękna.

Nieco dziwi nas przytem, iż niektóre organa prasy, bądź lakoniczną wzmianką, bądź zupełnem przekłady polskie Wrchlického zbyły milczeniem.

Pobratymcy czesi troskliwszą na wieszczów naszych zwracają uwagę.

Niedość jest, abyśmy szpalty poświęcali występom artystek dramatycznych, potrzeba nam też zaś wiedzieć o nauce i literaturze pobratymców słowiańskich.

Justyn Feliks Gajsler.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

„Starożytność pieśni Bogarodzica“ ks. Knothe'go. Tom X Rozpraw wydziału filologicznego Akad. Um. w Krakowie. L. Malinowskiego „Przyczynki do historyi wyrazów polskich,“ i A. A. Kryńskiego „Gwara zakopańska.“

Wskutek poszukiwań nad pieśnią „Bogarodzica“ okazało się, że posiadamy 4 jej teksty rękopiśmienne z wieku XV-go, a 20 kilka zabytków w druku i piśmie z wieków następnych. Do liczby prac rozmaitej wartości, poświęconych rozbiorowi układu i języka tego zabytku, przybyły w ostatnim dziesiątku lat monografie niepośledniej wartości naukowej, jak dr. R. Pilata, pomieszczona w pamiętniku Akademii Um. w Krakowie (w tomie IV) gdzie autor przedstawił wyczerpujący przegląd najważniejszych z pomiędzy 30-tu przeszło tekstów, odtworzenie dokładnego tekstu pieśni i szczegółowe objaśnienia gramatyczne; dr. A. Kaliny „Rozbiór krytyczny pieśni Bogarodzica“ (Lwów, 1880, stron 122 w 8-ce), oraz dr. Wład. Nehringa praca w *Archiv für slavische Philologie* I, 1875 i tegoż „Bogarodzica“ w *Studyach literackich* (Poznań 1884).

W odczytaniu tekstu tej pieśni trudność niemałą stanowił i stanowi w drugiej zwrotce wiersz 1-szy: Twego *dzela* krzcziczela *bozide*, z powodu niezupełnie zrozumiałych wyrazów: *dzela*=dzela (odczytywanego jako *dźela*=dla) i wyrazu *bozide*.

Trudność tę, nie rozwiązaną dotąd zadowalniająco przez filologów i lingwistów, pokusił się rozwikłać ks. Ap. Knothe, i pomysły swoje ogłosił w rozprawie p.n. „Starożytność pieśni Bogarodzica“ (w *Przegl. katol.* Nr. 21 i 22 z r. zeszł.).

W pracy swej poucza nas autor, między innymi, że 1-sza część pieśni pochodzi z wieku X-go (!), gdyż: 1) zawiera w sobie dwakroć „odśpiew“ kyrie elejson; 2) że zawiera wyrazy jakoby starosłowiańskie: *bogarodzica*, *gospodzin*, *swolena* (gdy tymczasem wiadomo dobrze, że są to zwykłe wyrazy staropolskie); wreszcie 3), że w owym wierszu drugiej zwrotki wyraz *dziel* (?) znaczy *synal* (!), zaś zamiast *bozide* czytać należy *bożyce*.

Ciekawa jednak droga, którą dochodzi się do odgadnienia tych osobliwych znaczeń. Dokładnie ją określają same wywody ks. Knothe'go. „Bierzmy—mówi on—pod uwagę starosłowiański wyraz *czełowiek* (człowiek). Znaczy on najdoskonalsze na ziemi stworzenie boże (*wiek*), stojące na czele wszelkich niższych od niego stworzeń (zwier); w bardziej szczegółowem pojęciu, *czełowiek* oznacza głowę rodziny, stojącą na jej czele. Od *czełowiek* nie mamy liczby mnogiej, bo w rodzinie jest tylko jeden stojący na jej czele. Za to od *wiek* (*vir*) mogła być liczba mnoga: *wiecy*, *wiece*, *wieca*, t. j. zgromadzenie ludzi. Był także rzeczownik zbiorowy *wiec*, od którego poszedł takiż sam późniejszy *gawiedź* (pospólstwo). Był zatem *wiek*, a jego towarzyszka *wieka*, albo *wieca*, *wieta*. Kiedy wieca została matką, była nazywana *kogwieca*, *kowieta*, *kobieta*, od *kogiti*, tulić, karmić, żywić, stąd *koga*. „Prosz sza namij boga, baucz thy nasza *koga*.“ Stąd także: *kokosz*, *kwoka*, *kogut*. Gdy towarzyszka czyli małżonka nazywała się *kogawieta*, wszelka inna, obca była nazywana *niewieka*, *niewieca*, *niewiasta*.“

Cały ten wywód nie ma nic wspólnego z zasadami nauki i jako wytwór czystej fantazyi autora, z gruntu jest fałszywy. Wyrazu „*czełowiek*“ w języku starosł. nigdy nie było; znana jest tylko w stsł. postać „*człowiek*“ (zgodnie z polskim); autor dał się widocznie uwieść formą wyrazu *rosyjskiego* człowiek i bierze jedno za drugie; nigdy też *wiek* nie oznaczał „stworzenia bożego,“ ale zawsze u słowian *wiek*= aevum; tym samym i przeskok *wiek*=vir możliwy tylko w wyobraźni autora. Ustęp, zawierający przejście od *wieca* do *gawiedzi*, a z kolei do *kogwiecy*, *kobiety*, następnie zaś do *kokoszy*, *kwoki*, *koguta* i *niewiasty* (!!) jest wcale udatnym przyczynkiem do humorystyki etymologicznej. Że Maciejowski widział błędnie w rzeczowniku *koga* żywicielkę, nie idzie za tem, aby *koga* miała coś wspólnego z kogutem i niewiastą. Zresztą jeszcze w r. 1861 błąd Maciejowskiego sprostował pr. Przyborowski, wyjaśniając, że *koga* jest wyrazem przyjętym do polskiego z łaciny średniowiecznej (coga) i znaczy *korab'*. („Vetustiss. adjectiv. declinatio“).

Wpadłszy raz na pomysł, że *wiek* znaczy *vir*, ks. Knothe snuje dalej swe wywody w taki sposób: „Jakże teraz nazywali słowianie swoje potomstwo? Oto dodawając na początku prefix *die*, po polsku *dzie*. A zatem: *wiek*, *dziewiek* (syn)—*wieca*, *dziewka* (córka). Dziewiek zdrobniale był nazywany *dziewielek* (synalek), z *dziewielek* poszło *dźwielek*, *dzielek*, *dziel* (synal),“—quod erat demonstrandum.

Doprawdy, wywody fantastyczne ś. p. ks. Wojciecha z Konojad Dębołęckiego, i wszelkie jego brednie etymologiczne, pisane w r. 1633 „na ulżenie bólu serca“ mogą i dzisiejszego jeszcze czytelnika nieco rozweselić; ale majaczenia podobnegoż gatunku, ogłaszane poważnie dziś, po upływie dwu i pół wieków, wcale już ulgi sercu nie przynoszą, są bowiem smutnym dowodem lekceważenia, jeżeli nie szyderstwa z rzeczywistej nauki językoznawczej.

Że zaś nauka ta istnieje nietylko w Europie zachodniej, ale i u nas jest uprawiana, dosyć przejrzeć wydawnictwa wydziału filologicznego Akademii Umiej. w Krakowie. Samych „rozpraw“ tego wydziału mamy już tom X-ty, w roku zeszłym wydany. Zawiera on, między wielu pracami, nader ciekawą i pouczającą rozprawę prof. L. Malinowskiego, p. t. „Przyczynki do historyi wyrazów polskich“ (str. 450—485). Czytając ją, przychodzi się do wniosku, że prawo rozwoju, tak powszechne w przyrodzie, widoczne jest i w życiu języka. Postaci używanych w mowie wyrazów, pod wpływem różnych, a znanych już czynników psychicznych, przetwarzają się zwolna, lecz bezustannie w ciągu życia narodu, tak, że znaczna ich liczba po upływie stuleci staje się, co do swej budowy i składu, późniejszym pokoleniom wprost niezrozumiałą. Wyjaśnieniu tych przeobrażeń postaci wyrazów polskich poświęcona jest rozprawa prof. Malinowskiego. Mamy tu umiejętnie przedstawioną historyą powstania w języku takich wyrazów, jak dziedziniec, kapłan, kapłon, obojętny, słomka, trociczka, treść, wstrzemięźliwy itd. Wywody te i objaśnienia to nie fantazya i mrzonki, a szczera, rzetelna nauka. Oby nam autor jak najwięcej takich „Przyczynków“ do historyi naszej mowy napisał!

W tymże tomie X Rozpraw spotykamy studyum dyalektologiczne Ad. Ant. Kryńskiego p. t. „Gwara zakopańska“ (str. 170—224). Praca ta daje obraz systematycznie przedstawionych właściwości mowy naszych górali, przechowujących do dziś wiele charakterystycznych cech języka, spotykanych bądź wyłącznie w staropolszczyźnie bądź też wspólnych mowie ludu innych także ziem polskich.

A. Przegonia.

Józef Bliziński: **Nowe humoreski**. W Bibliotece powieści podróży i opowiadań. Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1885, str. 164.

Gdybym potrzebował krótko scharakteryzować *Nowe Humoreski* p. Blizińskiego, powiedziałbym, że są na wskroś konwencyonalne, pozbawione humoru, obserwacyi, a nawet fantazyi, tych wszystkich zalet, któreśmy podziwiali w autorze *Pana Damazego*. Pole, na którem się obracają dzisiejsze figury jego, jest już zużyte. Te szablonowe obiady, chrzciny i wesela nie budzą już zajęcia w czytelniku, te „złote serca a słabe głowy“ szlachciców i mazgajstwo ich niezdarnych synalów sprawiają nam uczucie przesytu. Pospolitość treści, charakterów, stosunków, mógłby ocalić tylko nadzwyczajny humor, który autora całkiem zawiódł.

Sam pomysł niektórych obrazków byłby może zabawnym i rozśmieszającym, ale w wykonaniu ulotniła się wesołość. Skutkiem tego *Nowe powiastki* są po prostu nudne, bo tam nawet, gdzie autor sadzi się na dowcip, odnosi wprost przeciwny skutek. Pan Józef, w pierwszej humoresce *Mój pierwszy frak*, nie rozśmiesza wcale, ale robi swoją niezdarnością i głupotą przykre wrażenie. Podobnie działają na czytelniku

Figle Pana Wojszczyca, chwytane gdzieś w powietrzu; bo co to za dowcip wyciągnąć wśród największego mrozu poczciwego staruszka i wieść go na pół nagiego bez żadnej przyczyny do sąsiada?

W humoresce p. t. *Sielanka Pana Michała*, bohater, wyjeżdżając do niegościnnego księdza, wydał swemu furmanowi obrok, ale nie kazał mu pokazywać nikomu, boby gotowi sobie wziąć. Antek, furman, zrobił, jak mu kazano: schował obrok pod kozieł, konie głodziły się przez całą dobę i o mało nie zdechły.

Humor p. Blizińskiego starczy widocznie tylko na dykteryjki i facecye... Uwag, wypowiadanych wprost przez autora, jest na szczęście bardzo mało, ale te, które są, świadczą o braku głębszego pojmowania rzeczy. Oto próbka. Pan Floryan prowadzi potajemny romans z panną Maryanną Fabiaszówną. Autor, opowiadając o tem, zdziwiony na widok dwóch Maryj w swej powieści dodaje od siebie: „Także Marynia, *dziwny* zbieg okoliczności!“ (str. 113). Albo tego rodzaju głębokie refleksye: „Wielu utrzymuje, że to jest faktem—iż istnieją przeczucia — i popierają swoje twierdzenie przykładami. My natomiast moglibyśmy przytoczyć tysiące innych przykładów, zbijających to mniemanie“ itd. itd. (str. 120). Przysłowie francuskie: „gdyby młodzi umieli a starzy mogli“ przywiedzione pod koniec pierwszej powiastki, dałoby się zastosować do jego własnej humorystycznej niemocy.

Przypatrzmy się teraz drugiej stronie obrazków — ich prawdzie życiowej. Autor opowiada rzeczy codzienne, zwykłe, ale na każdym kroku zdradza brak miłości i obserwacyi—tych dwóch pierwiastków, które jedynie zdołają najpospolitszy przedmiot podnieść na wyżyny sztuki. Ślizga się tylko po wierzchu, nie maluje z natury a nieraz popełnia rażące błędy. W całej książce jest *tylko jeden* obraz przyrody, a i ten fałszywy. Pan Michał patrzy z okna „na siniejący w dali las, rozciągający się za polami i łąką,“ a taki ma nadludzki wzrok, że widzi „krople pozostałe na liściach drzew po spadłym niedawno deszczu;“ co więcej podziwia nawet „blask słoneczny odbijający się wszystkiemi barwami tęczy w tych kroplach“ (str. 130).

P. B. maluje widocznie swoje obrazy z pamięci, strona psychologiczna to — *spanische Wälder*. Posłuchajmy. Sześćdziesięcioletni mydlarz, zamiłowany w swym zawodzie specyalista, porzuca go ni stąd ni zowąd, kupuje wieś i bierze się do gospodarstwa bez pomocnika, choćby prostego ekonoma. Wychodzi naturalnie jak Zabłocki na mydle — ale mniejsza o to. Poruczającemi dla nas są jego marzenia. A były to wspomnienia młodości i stanowiły „*cudowne* tło, na którem snuły się *najwdzięczniejsze* obrazy.“ Rozpoczyna je „taniec gliceryny z potażem, kwas stearowy z alkaliami, palmitan z stearynem sody.“ Potem „wznosiły się piramidy mydeł olejowych, palmowych, żywicznych, glicerynowych, migdałowych, kostnych, krzemionkowych a nawet pumeksowych, piętrzyły się stosy baryłek z mydłem potażowem i paczek ze świecami cerofanowemi, kompozytowemi, palmowemi, parafinowemi, balmontynowemi, ozokerytowemi, olbrotowemi“ a mydlarz „przez sen ługował, szlifował, solił, marmurkował“ itd. itd. bez końca.

Autor poświęca wątpliwemu dowcipowi prawdę. Pod tym ostatnim względem kuleją wszystkie jego humoreski. W *Składkowym obiedzie* dla uczczenia nieznanej nam działalności pana Karola razi banalne nieprawdopodobieństwo głównego motywu. Przyjaciele, czy koledzy, po długiej i wyczerpującej dyskusyi, zapominają zaprosić na obiad solenizanta, który na kilka godzin przedtem wyjeżdża z Warszawy. *Ostatni figiel* Floryana, jako antydotum figlów Wojszczyca, bije w oczy niemniejszym brakiem prawdopodobieństwa. Czyż możliwą jest rzeczą, aby ten figlarz nad figlarzami, główny aktor w wykradzeniu Maryanny, dał się tak łatwo zbić z toru i pozwolił sobie wykraść synowicę i sam ją prowadził swemu przeciwnikowi? Takiego obrotu potrzeba było autorowi chyba — dla morału: „Padał ofiarą broni, którą sam wojował. Cios wymierzyła ta ręka, którą on sam zaprawiał do czynu. Uczeń przeszedł mistrza“ itp. Wogóle charakterystyka tego powiatowego chochlika, płatającego bez przyczyny głupie i brzydkie figle, które więcej dokuczają i męczą, niż rozweselają, nie jest ani prawdziwą, ani pouczającą. Autor lubi czasem zbyt mocne nakładać farby i tym sposobem mija się z prawdą. Pan Józef np. miał być do tego stopnia tchórzem, że się obawiał przedstawić swojej kochance z obawy, aby go „nie zjadła...“ (str. 29).

Kompozycya i technika tych powiastek pozostawia także wiele do życzenia, przedewszystkiem uderza w nich pośpiech. We wszystkich początek dobry, ale zakończenie niewłaściwe. Z tego względu przypominają one karykatury Bismarka w *Kikiriki*: głowa jak beczka na cienkich i maleńkich nóżkach. Wskutek tego, sprawa np. kradzieży Maryni była w oka mgnieniu uporządkowaną, skandal zażegnanym, zerwane stosunki zawiązane—wszystko idzie jak z płatka—pod koniec.

Styl pana B. jest gładki, język czysty ale bez barwy, bez ognia, bez życia. W całej książce *ani jednego* oryginalnego, świeżego obrazu, *ani jednego* uderzającego dowcipu, *ani jednej* prawdziwie poetycznej przenośni! Wszystko mdłe, szare, jednostajne i jak letnia woda—nudne.

Z.

TEATR.

Friebe, komedya w 5-iu aktach Kazimierza Zalewskiego.

W działalności dramatopisarskiej p. Zalewskiego nastąpił obecnie stanowczy przełom. Od tak zwanej komedyi obyczajowej, tworzonej z niepospolitym darem sceniczności, przerzucił się autor do—tendencyjnej. W komedyi *Górą nasi*, kierunek ten objawił się z całą stanowczością. Wystąpił on również i w *Friebem*, który jest także satyrą społeczną. Pan Z. wykazuje, jak rozkładający wpływ wywiera zbliżenie się sfery mieszczańskiej przemysłowej z arystokracyą, chłoszcze pyszałkowstwo dorobkiewiczów, którzy pną się do rodowej zgnilizny. Z drugiej strony przedstawia on w dobrze obmyślanej antytezie sprzeciwieństwo tego żywiołu niemieckiego, który u nas się przyswaja i kojarzy bratnio z obywatelskiemi dążeniami, a tego, który jest wrogim, rozbójniczym, i uważa się za placówkę zaborczą. Oprócz tego komedyę przenika szczery duch demokratyczny, nad którym góruje sympatya ku wszystkiemu, co swojskie bez różnicy obozu lub sfery społecznej.

Założenie sztuki zasługuje na bezwarunkowe uznanie—a śmiałość, z jaką autor je wypowiada, jest godna gorącego poklasku. Sama treść obudziła wszakże dąsy, ponieważ w pewnych szczegółach i postaciach ujrzano podobiznę niektórych naszych stosunków i odgłos naszych skandalów. Dla mnie jest to sprawa całkiem obojętna wobec wartości artystycznej. Są tam zresztą wyśmiane postacie i fakty godne ostrej chłosty, chociaż w pewnych razach przyznać trzeba, że autor mógłby się obejść bez zbyt szczegółowego wzorowania rysów nie koniecznych do obrazu sztuki. Przyjrzyjmy się po krótce sferze i ludziom, których p. Z. szkicowo, ale dobrze odmalował. „Są to dzieje rodziny dorobkowicza, którego majątek ginie w drugiem pokoleniu.“ Wdowa po przemysłowcu, pani Wiese, kobieta bardzo zacna, ale słaba, pragnie, aby jej dzieci wyszły na magnatów i żyły w „świecie;“ gromadzi więc u siebie tak zwane „towarzystwo.“ Synalek jej hula i puszcza z ladacznicami zapracowane przez ojca pieniądze. Codzienna to historya, której epizody kryją się w gabinecikach handelków i buduarach półświatka. Zięć, podrujnowany szlachetka Poniewski, bawi się w szachrajstwa giełdowe, dla metresy zdradza żonę i dąży do bankructwa galopem. A w ich salonie ładna galeryjka także prawdziwych postaci. Wymuskany hrabicz, który słynie z opowiadania skandalików *sous un voile transparent* i bałamuci żonę Poniewskiego; Vaugarsowa, przewrotna kokietka polująca za miłością dla spekulacyi; baron Tuczyteżtamczykiewicz pieczeniarz, a przytem rodzaj spekulanta i kawałek stręczyciela; pan Rikobsohn ze swą Eulalcią, śpiewającą arye z operetek, czuły małżonek, który każe teściowi płacić za niewiarę żony; pan Bubenstock, konsul patagoński, karykaturalny reprezentant naszych azyatyckich i amerykańskich dygnitarzy; wreszcie pan Hofherr Pękalski głuptas, śpiewający po salonach, i bojący się swej „sprytnej mamy.“ W tych ostatnich postaciach autor nie ustrzegł się pewnej przesady, ale całość składa się na barwny obraz sfery, której nicość moralną dosadnie określa przez usta jednej z działających postaci.

Cała ta ruchliwa gromadka składa się na obraz złożonej nędzy moralnej i czczego blichtru, pokrywającego finansową i moralną ruinę—na obraz znamiennie warszawski, gdyż wiadomo, jak wszechwładnem jest wśród naszego mieszczaństwa pozowanie i blaga. Dla kontrastu wprowadził autor parę figur dodatnich. Stary Wiese mydlarz, dobry „landsman,“ ale mówi, „po polski i po niemiecki,“ człowiek praktyczny, lubiący kraj i żyjący podług zasady: *ibi patria—ubi bene*; Żarski, trochę arystokrata, ale szlachetny i rozsądny, przyjaciel rodziny Wiesów, ratujący ją w ciężkiej potrzebie—wreszcie Dobek, buchalter, syn karbowego, demokrata, wypowiadający dodatnią tendencyę sztuki, przedstawiciel tych niższych warstw społecznych, które wybijają się na wierzch z dawnej nicości.

W tej galeryi najlepiej skreślone figury drugo-planowe. Wdowa Wiese jest postacią sympatyczną, ale ogólnikową, Poniewski szkicowany niedbale i blado. Świetną za to jest łotrzyca Vaugarsowa ze swą obłudą i wyrafinowaną czelnością, nie tyle może w pomyśle głównym, ile w subtelnem wykonczeniu szczegółów. Właściwie sztuka jest więcej malowidłem niż dramatem. Niema tu akcyi, ale obraz dążenia do katastrofy. Naprożno nie w porę otrzeźwiała matka chce ratować resztki mienia; zięć jej kończy karyerę oszustwem, zagrabiwszy cudze pieniądze, ucieka z kochanką do Paryża... Z tego wszystkiego korzysta Friebe, nieobecny na scenie tytułowy bohater sztuki. On jest złym duchem rodziny, on przedstawicielem łupieskiej dążności wydziedziczenia. Obcy przybysz, wcisnąwszy się do fabryki Wiesów, rozstraja ją, rujnuje syna i zięcia pożyczkami na lichwę, skupuje rozpuszczane akcye, a w krytycznej chwili może dyktować swe warunki Wiese'om, którzy usiłują resztki mienia ocalić... „To najsmutniejsze—powiada jedna z figur sztuki—że jeden Friebe jest panem sytuacyi w naszej fabryce, gdy inni Friebowie są panami sytuacyi...“

Jakżeż korzystnie zmienił się p. Zalewski jako pisarz społeczny od czasów *Podkomorzyny*! Tam cieszył publiczność, dogadzając jej próżności, i przedstawił łatwy tryumf nad niemcami, poturbowanie gromadki żołnierzy z harbajtlami przez

chłopstwo i szlachtę. Tutaj odzywa się głosem trzeźwego pesymizmu, że trzeba się rachować z tymi, co mają siłę, a w zestawieniu dodatnich i ujemnych czynników żywiołu napływowego germańskiego okazał niepospolitą bezstronność. Szkoda tylko, że pod względem artystycznym nie skupił się autor dosyć w naczelnym temacie sztuki, ale zbytnio rozpraszał na epizody i szczegóły charakterystyczne, że malował zbyt starannie figury poboczne, zamiast prowadzić bardziej streszczoną i żywszą akcyę, że wreszcie w niektórych scenicznych efektach nie dość był oryginalnym.

W każdym razie są w tej sztuce sceny świetne, są postacie szkicowane żywo i barwnie, które okupują słabe strony pracy. Kto głębiej i trzeźwiej patrzy w życie, widzi w niej śmiałe i pouczające odbicie obyczajowej prawdy, okraszone myślą dodatnią i szlachetną. Dla wartości tej myśli wolelibyśmy, co prawda, aby autor nie narażał się na zarzuty osobistościowej szykany, aby odstąpił w niektórych szczegółach od bezpośredniego kopiowania. Znamy na naszej scenie komedye p. Zalewskiego, napisane efektowniej i artystyczniej, ale nie znamy żadnej, która byłaby tak śmiałą, trzeźwą i żywotną.

Pod względem wykonawczym przedstawienie sztuki było niezwykle świetne. W rolach kobiecych przodowały panie Rakiewiczowa, Marcello i Lüde, ta ostatnia z wielką prawdą oddająca postać kokietki. W rolach męzkich p. Tatarkiewicz, Ładnowski, Rapacki i Kotarbiński, przedstawiający figury główniejsze, a w rolach epizodowych i pobocznych p. Ostrowski, Leszczyński, Prażmowski, Stromfeld, Grzywiński, Śliwiński i Turczyński, panie Czaki i Manowska—zupełnie szczęśliwie upostaciowali pomysły autora, który zarówno artystom, jak i reżyseryi winien podziękę za to, że jego sztuka przesunęła się przez scenę w pełni łudzącego ruchu i życia. Nawet kapelmajster orkiestry, przygrywający do operetki, starał się konopiastą czupryną, odpowiednimi ruchami uwydatnić dyrektorską brawurę... z odwrotnej strony medalu.

S. K.

LIBERUM VETO.

Zakopane wszędzie. — Wpływ Chałubińskiego.—Koncert Padarewskiego. — Lampa o dwu knotach.—Zgodny finał na cześć p. Kerntopfa. — *Friebe* p. Zalewskiego i demonstracya *Gazety polskiej*. — Nerw prywatny. — Co należy do krytyki artystycznej. — Arystofanes. — Estetyka francusko-warszawska. — Błogie skutki strachu przed cholerą.

Zaledwie od kilku lat—Zakopane w etnologii, Zakopane w lingwistyce, Zakopane w malarstwie, Zakopane w rzeźbie, Zakopane w muzyce—skromna kotlinka tatrzańska występuje ciągle na rozmaitych polach literatury i sztuki. Geniusz jest zawsze monarchą, który rządzi zwykłymi śmiertelnikami. Ów zakątek górski pozostałby dotąd znany tylko wszystkim mapom sztabu generalnego i nie wszystkim członkom Towarzystwa tatrzańskiego, gdyby nie jeden człowiek, który go podniósł swoją zacną działalnością i rozsławił magicznym wpływem. Gdyby nie prof. Chałubiński, nietylko rzadko kto trząsłby swoje cielesne ruchomości przez całą dobę na wózku góralskim z Krakowa do owego ustronia, ale z pewnością Wrześniowski nie pisałby o zakopianach, Rajchman o wycieczkach górskich, Kryński o gwarze miejscowej, z pewnością Kleczyński nie zbierałby melodyi, a Padarewski nie obrabiał tematów zakopiańskich, a już proste skrzypki Sabały najniewątpliwiej nie doczekałyby się odbicia i traktatu w *Echu muzycznem*. Wala, Tatar, Wojtek Roj są bardziej znani w Polsce, niż połowa literatów warszawskich.

Najszczerszy i najpomyślniejszy użytek z pieśni zakopiańskich zrobił dotąd p. Padarewski, który w poprzednim tygodniu wystąpił z własnym koncertem i własnymi utworami. Z własnymi utworami!—śliczna wiadomość. Chociaż *Konrad Wallenrod* Zeleńskiego po wzięciu Lwowa ma kolejno zdobyć wszystkie miasta europejskie, nie zniknął fakt, że nasza twórczość muzyczna obecnych czasów jest bardzo ubogą. Po zgaśnięciu Moniuszki zrobiło się w tej dziedzinie ciemno, tak ciemno, że przy łojowych lub stearynowych świeczkach, a nawet przy lampach rodzimych ledwie można było odprawiać nabożeństwa przed ołtarzem Polihymnii. I talent p. Padarewskiego zapłonął jak lampa, ale z dwoma knotami: świeci formą i natchnieniem. Oba te wyrazy znalazłem we wszystkich sprawozdaniach z koncertu, które zwykle chwalą jeden tylko knot w utworach naszych kompozytorów—formę. Ale zauważyłem w nich jeszcze jedną nowość. Bardziej może, niż sonata i pieśni Padarewskiego, bardziej, niż szczery i piękny głos p. Weyhertowej, podobał się recenzentom—fortepian p. Kerntopfa (syna). Od dawna już nie pamiętam takiej zgody w uczuciach, w pochwałach a nawet w miejscu ich wyrażenia. Finał bowiem gazet brzmiał prawie unisono. Jedna z nich: „Publiczność więc doznała wczoraj kompletnej niespodzianki, słysząc ton przyjemny, dźwięczny, jasny w średnich oktawach, silny w basie, miękki w wiolinie i oceniając przymioty dobrego instrumentu, który nie pochodzi z fabryki Blüthnera ani Bechsteina, ale ma nad klawiaturą wypisane nazwisko „Kerntopfa syna“ w Warszawie.“ Druga: „Nie możemy pozbyć milczeniem debiutu fabryki pp. Kerntopfa i synów, których fortepian koncertowy pod każdym względem zdołał odpowiedzieć wymaganiom estrady. Pierwszy to szczęśliwy debiut w tej gałęzi przemysłu krajowego—szczerze życzymy dalszego powodzenia.“ Trzecia: „Wbrew panującemu obecnie zwyczajowi, p. Padarewski, zarazem wirtuoz fortepianista, wybrał na wczorajszy swój popis fortepian tutejszej fabryki Kerntopfa (syna) i przekonał słuchaczów, iż można się na tem polu obejść bez pośrednictwa firm zagranicznych. Fortepian wczorajszy brzmiał silnym, równym i nader pięknym tonem.“

Rób sobie czytelniku, jak chcesz; co do mnie wszakże, mogę nie pójść na przyszły koncert Padarewskiego, ale jeśli kiedy będę potrzebował nabyć fortepian, kupię go tylko u Kerntopfa syna, czy też i synów.

Czy usłuchać również *Gazety polskiej* i nie pójść na przedstawienie komedyi Zalewskiego *Friebe*? Pismo to bowiem krótko a ostentacyjnie zawiadamia swoich czytelników, że „rozbioru tej rzeczy podawać nie będzie.“ Czemu? Czy ta „rzecz“ jest tak licha, że o niej mówić nie warto? Nie. *Kuryer codzienny* utrzymuje, że bardzo ładna. Więc? Widocznie musi ona ranić jakiś nerw czułości prywatnej. Szukałem w sztuce samej wytłomaczenia zagadki, ale go znaleźć nie mogłem, gdyż, niestety, należę do rzadkich w prasie warszawskiej *simplexów*, którzy nie znają najwydatniejszych osobistości: nie wiem, ile który z tuzów arystokracyi pieniężnej lub rodowej ma dzieci, synów, córek, ile traci rocznie tysięcy rubli, jakie dźwiga kłopoty i jakim ulega słabostkom. Zaledwie umiałbym objaśnić, które koleje należą do p. Kronenberga, a które do Blocha, kto panuje w Zamościu, a kto w Opinogórze, ale już np. dlaczego nie wolno napisać nazwiska p. Pawła Popiela z Krakowa bez *J. E.*—nawet się nie domyślam. I komedya więc *Friebe* pozostałaby dla mnie w stosunku do *Gazety pols.* sfinksem, gdyby nie krytycy *artystyczni*, którzy zaznaczyli, że autor wziął swoją osnowę „z życia,“ że przedstawione przez niego postacie są odbitkami żywych. Ponieważ zaś w sztuce jest wielu nieponiów—*inde irae*. Wszystko to przekonywa mnie tylko, że ja ze swoją nieznajomością stosunków warszawskich byłbym bardzo dobrym recenzentem teatralnym, bo by mi pamięć o owych stosunkach wcale nie przeszkadzała w sądach artystycznych i nie pobudzała do gniewnych oświadczeń, że „rozbioru tej lub owej rzeczy podawać nie będę.“ Po co krytyk idzie do teatru? Czy po to, ażeby badał prawa oraz rzetelność autora w nabywaniu i obrabianiu materyału, czy też po to, ażeby ocenił wartość artystyczną jego utworu? Zdaje mi się, że jego obowiązek zamyka się całkowicie w tem drugiem zadaniu. Gdyby p. X. napisał komedyę i swoim znajomym szeptał, że przedstawiona w niej awanturnica jest kopią mojej córki, pociągnąłbym go za to do odpowiedzialności, ale komedyę bym pochwalił, skoroby na to artystycznie zasługiwała. O *Ryszardzie III* Shakespeare'a inaczej by mówił rzeczywisty Ryszard III, a inaczej mówił Gervinus. Prawie wszystkie komedye Arystofanesa były szykanami na osoby mu współczesne, a niekiedy nawet paszkwilami, a jednakże są to dla nas arcydzieła sztuki, gdyż albo nie znamy życia prywatnego osób rzeczywistych, które on ośmieszał, albo zapominamy o tem. Co nas obchodzi garbarz Kleon, wyszydzony w *Rycerzach*, albo nawet Sokrates—w *Obłokach*? I *Friebe* stawia krytykowi tylko to pytanie: Czy p. Zalewski jest Arystofanesem jako pisarz? czy jego utwór posiada wartość artystyczną?

Niech na to pytanie odpowiada nasz sprawozdawca teatralny, ja zauważę jedynie, że estetyka francusko - warszawska uwikłała się w własne swoje prawa. Każe brać osnowę „z życia,“ przedstawiać jego stosunki „realnie“ i „wiernie,“ a gdy znajdzie się ktoś, kto zadość uczyni owym przepisom — szanowna estetyka zaczyna nosem kręcić. Ponieważ zaś ona również kręci tym nosem, kiedy pisarz nie „bierze z życia,“ nie przedstawia go „wiernie i realnie“ — przeto nie wiadomo, czego ona właściwie chce. Nakreślisz jakąś postać z głowy, powiedzą, że niema ciała; wyjmiesz ją z rzeczywistości, krzykną, że przypomina jakieś ciało, które nadto wyzywa autora na pojedynek, albo ciągnie go do sądu. Panowie z krytycznego areopagu, objaśnijcie raz — nie mnie, którego francusko-warszawska estetyka już chyba nie poprawi, ale ludzi, którzy chcą być z nią w zgodzie: jak należy pisać komedye, dramaty, powieści — z życia, czy nie z życia?

Co to za błogosławiony żywioł cholera, a raczej zrodzony przez nią popłoch — ojciec komitetów sanitarnych! Ponieważ istnieje podejrzenie, że ta plaga Europy nie opuściła, lecz w niej zimuje i zechce zwiedzić nasze czyściutkie miasto, więc przygotowania do należytego przyjęcia jej nie ustają. Wbrew tradycyi ani stacye ratunkowe nie poszły na bruk do piekła, ani dyżurni lekarze nie zawiśli w sferze dobrych chęci, ani komitety sanitarne nie usnęły — przeciwnie ciągle działają, ciągle słyszymy o przedsiębranych ostrożnościach, o nakazach utrzymywania porządków w domach, o analizie wód studziennych itd. Jeżeli się komuś wystawi bramę tryumfalną, a ów ktoś nie przyjedzie, to brama zmarnowana; ale jeżeli miasto się oczyści, a cholera nie przybędzie, to czystość nie przepadnie. O ile też życzę Warszawie, ażeby ją zaraza nigdy nie nawiedziła, o tyle radbym, ażebyśmy wszyscy ciągle tego gościa oczekiwali. Może wtedy będziemy—porządni.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Niewczesne spekulacye — Rozumowania. — Dobrodziejstwa niskiego kursu rubla. — Błogosławieni naiwni. — Figiel pierwszego tenora w Łodzi. — Złoty most zgody. — Prawdziwe szczęście. — Zmiana redakcyi *Gazety radomskiej*. — Opryszki.

Wśród wielu środków, mających „uratować nasze rolnictwo" a poważnie zalecanych przez jego lekarzy, znajdowała się także — wojna. Rozumowano w ten sposób: wielka wojna zwiększyłaby zapotrzebowanie zboża a jednocześnie — oderwałaby masę rąk od pracy: spożywanoby zatem więcej, a produkowano mniej, czyli... wniosek prosty. Nie wchodzimy w przedmiotowy rozbiór tego rachunku, który godnie spoczywać sobie może obok wszelkich pomysłów, opartych na wywróceniu się świata do góry nogami i pięknie zdobiących nałogową filozofię dnia dzisiejszego bez pamięci o jutrze; zapisujemy tylko rozczarowanie ekonomistów, którzy mieli nadzieję odegrać się na wojnie. A mieli ją — i zapewne wielu jeszcze bardziej umocniło swe mniemanie o złym wpływie *Prawdy*, która pomimo wszystkich „chmur na horyzoncie politycznym" w możliwość wojny uwierzyć nie chciała. Jak świadczą odebrane przez nas korespondencye — prowincya nadstawiała uszy ku różnym wiatrom. Tymczasem wielka „chmura" pokropiła małym deszczem, górne prądy rozdarły ją i odsłoniły skrawek jasnego nieba, zwiastujący pogodę. Dyplomaci w Wiedniu i Paryżu, a może nawet w Londynie nie wiedzą, co jutro przyniesie; a miałby wiedzieć szlachcic w Wólce lub sprawozdawca literacki w Warszawie; ani p. Wincenty herbu Grzybek, ani ja niżej podpisany nie możemy się założyć o to co będzie za 24 godziny, ale jeśli trzeźwo rozważane wypadki i objawy nie mylą, ziemianie nasi w roku bieżącym nie zrobią interu na — wojnie.

Mogą natomiast zarobić coś na upadku waluty, który — jak wiadomo — należy również do dobrodziejstw rolnictwa. Jest to prawie przykro wyznać, a jednakże pozostaje faktem, że nasz ziemianin potrzebuje, ażeby rubla stały nisko, bo ich dostaje *więcej*. Czy to w ogólnym budżecie kraju, a nawet pojedynczego gospodarstwa znaczy istotnie: *więcej* — inna i wcale nietrudna do rozwiązania kwestya. Dość, że są ludzie, którzy trzymają się ściśle napisów na *papierkach* i którzy swą korzyść oceniają wzrokiem. Dla tych ludzi ów papierek posiada zawsze w kraju wartość o 20 groszy wyższą od równoważnego papierka pruskiego, i zawsze co dwa, to nie jeden, choćby owe dwa spadły w cenie do kosztów użytego na nie materyału. Kto z tych ekonomistów nie musi wyjeżdżać za granicę i tracić u bankiera różnicy kursu, może długie lata żyć w błogiem złudzeniu, że tam giełdziarze obcy obniżają wartość rubla, ale w kraju trzyma się ona ciągle niezmienioną. Błogosławieni naiwni, których po tej krótkiej wzmiance opuśćmy bez dalszych zamachów na ich wiarę.

Czas świąteczny trwa u nas dłużej, niż w kalendarzu wskazują dni czerwonemi czcionkami odbite; i prowincya więc dojadałaby sobie spokojnie resztki wielkanocnych przysmaków, gdyby nią nie wstrząsnęła wieść o wojnie. Oprócz sprawozdań z widowisk amatorskich, doniesień o kradzieżach i tym podobnych zwykłych objawach naszego życia — pisma nie dostrzegają nic godniejszego uwagi na szerszym widnokręgu. Skutkiem tego krzywda trupy teatralnej łódzkiej obudziła żywe współczucie. P. Teksel — jak opowiada miejscowy *Dziennik*— pożegnawszy „ostatniem przedstawieniem" publiczność „polskiego Manchesteru," która zostające pod jego opieką dzieci Melpomeny utrzymywała w dość surowym poście, zamierzył dla odpasienia ich wyjechać do Płocka. Już najął teatr, już część operetkowych basów, barytonów, sopranów i altów wyprawił w drogę, gdy nagle „pierwszy tenor," wziąwszy pensyę i zaliczkę, drapnął. Ponieważ zastępcy pod ręką nie było, więc statek p. Teksla „osiadł na mieliźnie." Ostatecznie „pierwszego tenora na granicy złapano" i oskarżono w sądzie, ale tymczasem wyprawa do Płocka spełzła na niczem i kapitan osadzonej na mieliźnie nawy, któremu *Dziennik* pragnie wyrobić współczucie, musi zjednywać sobie skąpe względy „polskiego Manchesteru." W pewnej anegdocie żyd żołnierz, wysłuchawszy przed bitwą mowy oficera, zakończonej wykrzykiem: „mąż walczy z mężem" — rzekł: „Niech pan oficer z łaski swojej pokaże mi mojego *męża*, to ja się z nim ułożę." Jeżeli tedy ułożyć się można z przeciwnikiem w bitwie, czemuż by ten środek nie miał skutkować w sprawie ze schwytanym na granicy pierwszym tenorem? Słusznie też *Dziennik łódzki* wskazuje do tego porozumienia się drogę. „Radzilibyśmy — powiada — artyście naprawić zło, powrócić do przyjętych obowiązków określonych kontraktem i tym sposobem choć w części zatrzeć wrażenie, które w przeciwnym razie niekorzystnie oddziałać może na dalszą jego karyerę sceniczną. Jesteśmy pewni, że i publiczność życzliwie przyjmie tego rodzaju rehabilitacyę utalentowanego i *sympatycznego* śpiewaka." Trzeba już mieć takie szczęście, jak p. Bandrowski, albo występować przed tak poczciwą publicznością, jak łódzka! Biedna panna van Zandt tylko napiła się przed widowiskiem kieliszek absyntu, czy czegoś podobnego i paryżanie wygwizdują ją bez litości i uwagi na moralne cierpienia; p. Bandrowski tymczasem został złapany z zaliczką na granicy i nie przestał być „sympatycznym" a nawet może liczyć na „życzliwe przyjęcie," jeśli tylko wystąpi. Doprawdy, na takich warunkach Chiny podpisałyby traktat z Francyą. I my radzimy, niech pierwszy tenor pogodzi się z tak wyrozumiałym dyrektorem i z tak pobłażliwą publicznością.

Przed kilku miesiącami dr. Rewoliński założył w Radomiu nowy przybytek dziennikarski. Poświęcając go mową inauguracyjną, przyrzekł hodować „pierwiastek idealny"—„pleśń wieków, pokrywającą ruiny"—„postęp oparty *koniecznie* na religii i moralności—itd. Przepowiedzieliśmy wówczas, że cała ta teorya „pleśni wieków" będzie wkrótce obalona przez prenumeratorów pisma, wymagających od redakcyi czego innego—mianowicie wskazówek praktycznych. Jakoż stało się—nastąpiła zmiana ministeryum, a nowy gabinet przemawia rozsądniej, na miejsce „pierwiastku idealnego" stawia „interes miasta i prowincyi" i prosi swych czytelników o nadsyłanie materyałów. O programie zbawienia ludzkości lub choćby kraju nie ma ani wzmianki.

Tę kolej przeszły wszystkie pisma prowincyonalne — musi ją również przejść i *Gazeta radomska*. Z początku wywieszały one "sztandar," zajmowały „stanowisko," zaliczały się do tego lub innego „obozu," ale wkrótce spostrzegały, że wielka polityka literacka prowadzi je na manowce i okrywa śmiesznością, że lepiej zamknąć się w kole interesów miejscowych, rozpatrywać je krytycznie i przedmiotowo, budzić w swej prowincyi ruch, życie i energię—a reformowanie świata pozostawić innym.

Złodzieje i rabusie nie obchodzą żadnych świąt, więc też podczas wielkanocnych nie próżnowali. Jak zwykle, z wielu stron przybyły wiadomości o kradzieżach a nawet krwawych starciach. Gdzie włościanie nie zawarli z opryszkami „kontraktów" (Moszczanka), tam ulegać muszą ich teroryzmowi, a gdy chcą bronić swego mienia, spotykają lufy rewolwerowe.

A. C.

We wsi Opacz, pod Pruszkowem, właściciel folwarku, p. S. zastrzelił swą żonę, którą dręczył zazdrością i którą podejrzywał o stosunki z rządcą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 16 kwietnia.

Gdyby dwu się uparło zdurzyć trzeciego, nie mogliby tego uczynić lepiej, jak obustronne telegramy w sprawie afganistańskiej zrobiły z czytelnikami gazet. Powstał zupełny chaos najsprzeczniejszych doniesień, w których rozstrzyga już nie rozum, ale przeczucie. Nawet wtajemniczeni w zatarg dyplomaci nie wiedzą, za czem trzymać, a niebyłoby dziwnem, gdyby sam Gladstone w palec stukał lub kładł kabałę.

Zregestrujmy wszakże nowiny ostatnie.

Wprzódy donoszono, że Turcya na wypadek wojny połączy się z Anglią, potem— że zachowa się biernie, ale nie ręczy, czy w tem postanowieniu wytrzyma, wreszcie teraz — że postanowiła być neutralną.

Raport gen. Komarowa z początku wydawał się prasie angielskiej wątpliwym, później nie widziała ona w nim przeszkody, tamującej pokojowe załatwienie sprawy, teraz mniema, że położenie nie przestaje być groźnem. Z całego tego tumanu najrozmaitszych wiadomości wynika jasno jedna tylko prawda: że Gladstone używa wszelkich środków, ażeby zapobiedz wojnie. Gdyby chciał ją wypowiedzieć i gdyby wierzył w pomyślny jej rezultat, z pewnością nie zszywałby rozdzieranego stosunku, nie żądałby ciągłych wyjaśnień, nie czekałby na nie po kilka tygodni, lecz posłał groźną notę z wyzwaniem i poparł ją orężem. Z dotychczasowych jego zawrotów widać, że zakupiłby dziękczynne nabożeństwo, gdyby mu się udało zakończyć spór polubownie. Ale gdyby nawet spełnił swoją chęć serdeczną, Anglia poniesie klęskę, straci urok potęgi groźnej, bo z za kołnierza jej wylazł daremnie ukrywany—strach.

Dotąd na kłopotach angielskich najwięcej korzysta emir afganistański, którego John Bull obcałowywa na wszystkie strony i pieści jak najukochańszego syna. Gladstone wyraźnie oświadczył w Izbie gmin, że „w obecnych okolicznościach Anglia winna zachowywać się względem emira z jak *największą względnością*."

Z drugiej strony *Praw. Wiestnik* zamieścił ważne dopełnienie do raportu gen. Komarowa; mianowicie opuszczono w druku tego raportu wyrazy, iż afgańczycy w odmowie swojej opuszczenia lewego brzegu rzeki Kuszk powoływali się na „radę anglików." Dodatek ten lekko zaostrza prowadzone obecnie układy, gdyż zaznacza, że owi „porwani prądem uciekających oficerowie angielscy" nie byli biernymi świadkami walki.

Podczas gdy matka, królowa Wiktorya musi z ministrami gryźć twarde orzechy afganistańskie, jej syn jeździ sobie po Irlandyi spokojnie, jak gdyby trzoda Parnella składała się z niewinnych baranków. Wyprawiają mu tam różne kocie muzyki, ale on na takie drobiazgi nie zważa. Jako wzorowy i nieustraszony gentleman wjechał w niebezpieczną knieję, ażeby pokazać, że się wcale nie obawia ukrytych w niej wilków. Taka odwaga imponuje

widocznie nietylko kobietom, ale i — parnelistom.

Więc gotowość Chin do układu z Francyą została już stwierdzoną. Praktyczni synowie państwa niebieskiego wyrozumowali sobie widocznie, że po doznanych klęskach i zmianach ministeryalnych francuzi będą skłonniejsi do ustępstw i dlatego nawiązali znowu nić rokowań. Gazety paryskie podają osnowę projektowanego traktatu, zawiera on wszakże podobno kilka punktów, które rząd pekiński radby na swoją korzyść złagodzić. Różnice we wzajemnych żądaniach nie sięgają głęboko, zgoda więc jest nietrudną. A zaiste mógłby jej nietylko krajowi, ale i sobie powinszować nowy gabinet, który objął ster w warunkach nie do zazdrości — z obowiązkiem rozwiązania zagmatwanego węzła.

Paryż. Głównodowodzącym w Tonkinie mianowany został gen. Courcy.

Petersburg. Miejsce zmarłego Orłowa, jako poseł rosyjski w Berlinie, zajmie hr. Piotr Szuwałow.

CUDZE GŁOSY.

Polityka niemocy, artykuł wstępny *Gaz. nar.*, o którym na innem miejscu dzisiejszego numeru wspomniano, zawiera kilka ustępów, zasługujących na przytoczenie. Na wstępie kreśli autor stanowisko i zadanie partyi dworskiej, istniejącej w państwach monarchicznych, i wykazuje, jak ważną mogłaby być jej rola pośrednicząca dla narodów. Jako przykład służyć mogą Węgry w epoce ugodowej. Lecz

„biada narodowi, jeżeli swą partyę dworską, zamiast za pośredników, weźmie za przewodników: według matematyki politycznej nie bierze on wtedy, lecz daje.“

Nie jest to nawet winą stronnictwa dworskiego, zdaniem autora, bo ono z natury powołania swego ulega sile, która mocniej prze.

W Galicyi poczęło się wytwarzać stronnictwo dworskie od chwili, gdy cesarz po ciężkich doświadczeniach łaskawem na nią spojrzał okiem. Lecz czy naród był politycznie dojrzały a pokolenie jego dość męskiem, ażeby spożytkować istnienie tego stronnictwa i wysnuć trwałe zdobycze dla potrzeb swoich? Odpowiedź wypada, niestoty, całkiem ujemnie. Oto fakty:

„Pod wodzą i presyą ekscelencyi i aspirantów na ekscelencye sejm, który dziś postanowił nie obsełać (sic) Rady państwa, lub obesłać *) z adresem do tronu, jutro obseła bezwarunkowo— kapituluje!

Pod wodzą i presyą ekscelencyi i aspirantów na ekscelencye, gdy na porządku dziennym postawiono protest przeciw wyborom bezpośrednim, sejm przechodzi nad protestem do porządku dziennego — kapituluje!

W życiu prywatnem i publicznem tylko w miarę stanowiska i znaczenia swego można sobie i drugim być użytecznym. A jednakże za podstępnym podszeptem stańczyków, będących nerwem stronnictwa dworskiego, aby nie trudnił się t. z. wielką polityką, sejm abdykuje stale z polityki i zajmuje się „łataniem dziur w mostach.“

Oto od chwili, gdy sejm abdykował ze znaczenia, uchwały i rezolucye jego zalegają latami po biurach ministeryalnych i wędrują do kosza — kraj przegrywa.

*) Te cudactwa językowe czytelnik naturalnie zapisze na rachunek autora. *Red.*

Za przewodem stronnictwa dworskiego sejmy z zasady ustępują, rząd nie potrzebuje wcale już liczyć się z reprezentacyą krajową, wiedząc, że w każdym wypadku ona znowu zrejteruje.

Sejmy, idąc w poddaństwo stronnictwa dworskiego, abdykowały ze znaczenia swego na korzyść tego stronnictwa: w ten sposób urosła w znaczeniu galicyjska niby—*Hofpartei* a z nią razem, zamiast istotnej konstytucyjnej dyplomacya, pozbawiona niezbędnych pleców, a przeto bezpłodna.“

Taki to nie wesoły, a przyznać musimy, prawdziwy obraz stosunków w Galicyi kreśli autor. Grozę ich powiększa jeszcze to, że dawni przodownicy sejmowi, zmęczeni wiekiem, usunęli się od czynu a nadto śmierć zabrała takie niepodległe natury obywatelskie, jak Adama Potockiego, Ludwika Skrzyńskiego itp. W ten sposób na widowni uwija się tylko panująca wszechwładnie *Hofpartei*, nieczuła na najżywotniejsze potrzeby kraju. Tu przypomina autor sprawę statutu kolei Transwersalnej i rozbiera „osławioną“ pozycyę naszą w Radzie państwa, gdzie owa partya niby „spełnia misyę obrony spraw krajowych i narodowych.“ Jakiż rezultat tej błogiej działalności — popatrzmy:

„Od lat kilkunastu same tylko klęski:
Rezolucya zaprzeczona;
autonomia krajowej rady szkolnej okrojona;
podatek gruntowy znacznie podwyższony;
przemysł naftowy, nadzieja zubożałego kraju, zaledwie dyszy pod ciężarem prasy fiskalnej, od którego delegacya nasza wcale go nie broniła. Że zaś na gorzelnictwo nie spadł równy ciężar, to tylko dlatego, że prezes Koła polskiego, w ostatnich chwilach przez gorzelników przyparty, poprawił wniosek ministeryalny i dowiódł, że przy odrobinie męztwa można było to samo w sprawie nafty zdziałać.

Za statut służby kolejowej (w duchu czysto centralistycznym, *przyp kor.*) delegacya nasza ministra handlu, przez lewicę atakowanego, raz po raz głosami swymi jeszcze ratuje!

Wogóle ratowano obcych bogów, a nie myślano o własnych powalonych ołtarzach.

Wszystkie zaś zdobycze nasze datują się z pierwszego dziesięciolecia ery konstytucyi, kiedy w sejmie i delegacyi było trochę jeszcze rezolutności a nasza niby—*Hofpartei* nie komenderowała nami wszechwładnie przy pomocy doktrynerów podwawelskich. Tembardziej za rządów Taaffego obeszłoby się było bez opozycyi a wystarczyłby łagodny nacisk przy rezolutności.“

Ostatnie twierdzenie poparte przykładami zwycięstw innych stronnictw prawicy, daleko słabszych liczebnie od Koła.

Na zakończenie zapytuje autor, kto winien tej niemocy? Ocenia słusznie, chociaż zdaniem naszem za łagodnie, prezesa Koła, Grocholskiego, osobistość „z natury więcej usposobioną do obrony niż do zdobywania,“ krytykuje większość delegacyi, która go wybrała na prezesa wtedy, gdy nastała pora zdobyczy a wybrawszy nie parła naprzód; nie przebacza i mniejszości, która stanowczem wystąpieniem wobec gabinetu, niemogącego się ostać bez kilkunastu głosów, nieraz odniosłaby zwycięstwo. A więc winna *Hofpartei*, winien sejm, winna i większość i mniejszość delegacyjna. Ale czy tylko oni? Na to pytanie następuje odpowiedź, charakteryzująca wybornie stan naszego społeczeństwa:

„Przecież prawica sejmowa, słuchając ślepo komendy ekscelencyi, powstała z *nowych* (w z. roku *przyp. kor.*) wyborów! Przecież wyborcy szlachta, wysyłając do parlamentu synów namiestnikowskich — miasta nawet, wybierając b. redaktorów gazet urzędowych, *uzupełniają* raz po raz ową większość delegacyjną, której praca parlamentarna jest szeregiem przegranych! Winni zatem wyborcy, winno społeczeństwo, moralnie porażone, winien ogół w tym okresie apatyi i niedołęztwa; a gdzie wszyscy winni, tam nie szukać kozła ofiarnego, ale szukać jedynie wyjścia z tej nędzy.“

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje wremia pisze, usprawiedliwiając nasze zajmowanie się mrzonkami.

„Niepojęte i niczem nieuzasadnione są według mnie (p. Razańca) napaści wielu (naturalnie *N. Wr.* tego nie używa) dzienników rosyjskich na społeczeństwo tutejsze (polskie), traktowanie w ich sposób stosunków tego kraju i samego kraju nie jest do darowania. Wszak niedawno wyczytałem w pewnem piśmie moskiewskiem projekt odstąpienia niemcom Królestwa Polskiego po Wisłę i to wymotywowany jako rzecz pożyteczna i konieczna. Niepodobna łudzić się i przypuszczać, żeby projekty podobne nie zostały spostrzeżone i zauważone przez tutejszych mieszkańców. Nam rosyanom, mieszkającym tutaj, przykro słyszeć, jak polacy mówią o tym motywie, tembardziej, że ogromna większość wykształconego społeczeństwa polskiego nie dała powodu do podobnych projektów, Po cóż zatem drażnić napróżno spokojnych obywateli, którzy sami radziby zagładzić pamięć roku 1863?“

Korespondent mniema, że twórcami podobnych pogłosek są kupcy moskiewscy, działający w widokach współzawodnictwa.

„Że konkurencya ta jest kupcom moskiewskim niemiła, o tem nie wątpię; ale czyż nie ma już innego środka, tylko amputacya części państwa dla zwalczenia tej konkurencyi, przytem amputacya na rzecz potężnego sąsiada?

„Mojem zdaniem, skoro kupcy moskiewscy mogą urządzać ekspedycye do różnych rynków Azyi w celu wystudyowania warunków i szans handlowych, to cóż im przeszkadza tak samo postąpić z rynkami Królestwa Polskiego? O tem, że konkurencya tutejsza coraz nowego klina zabija rosyjskiej produkcyi, wiedzą wszyscy, wszak i ja sam wielokrotnie na tem miejscu o tem pisałem. Mało kto jednak wie naprzykład, a to rzecz ważna, że kiedy tutejsze fabryki zbywają towar swój na rynkach rosyjskich, te ostatnie zasypywać poczynają Królestwo mąką swoją. I niech tylko pobudowana zostanie linia kolei żelaznej Homel-Brańsk, a młynarze rosyjscy zbiorą żniwo, cena ich mąki bowiem tak się obniży, że tutejsi ani będą mogli myśleć o konkurencyi.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

J. Wieniawski przybył do Warszawy i dał koncert.

Przeciw szczepieniu ospy 20,000 obywateli w Leicester wniosło protest, skutkiem którego rada miejska zniosła przymus, a na zwołanym dla tej sprawy meetingu spalono portret Jennera i wszystkie odnośne bile.

Pocieszająca statystyka. Według gazety *Heimath* w ciągu roku zeszłego skradziono w guberniach nadbałtyckich tysiąc koni, co stanowi stratę około 100,000 rs.

Termomikrofony Ochorowicza, przenoszące głos do całej sali, doznały bardzo przychylnego przyjęcia ze strony krytyki technicznej, która im wróży świetną przyszłość.

P. Józef Sporny przed nielicznem gronem słuchaczów odczytał w dwu lekcyach swój gruntowny wykład o kanalizacyi i wodociągach.

Rewizya lombardów prywatnych wykazała nietylko wiele w nich nadużyć, ale odsłoniła stopy procentowe: najniższą jest 18 od sta na rok, a najwyższą **120**.

Mundury urzędników cywilnych, przypominające uniform wojskowy, zostały zmienione.

Bal panieński tak się podobał jego uczestniczkom i uczestnikom, że postanowiono go za wszelką cenę powtórzyć, chociaż urzeczywistnieniu tej dziwnie licującej z obecną biedą przyjemności stanęły jakieś przeszkody. „Szczęśliwi, którzy umieją „wierzchem żyć i pluskać wesoło.“

Trzydziestoletnią rocznicę wydania pierwszej swej powieści p. t. *Uczony* (Lwów, 1855 u Kallenbacha) obchodzić będzie w tym miesiącu pan Zacharyasiewicz. Koło literackie lwowskie wysyła doń odpowiednie pismo.

Wystawa sztuk pięknych, urządzona staraniem pp. Franciszka Dobrowolskiego i W. B. Engeströma, otwartą została d. 29 marca w Poznaniu, w pałacu Działyńskich. Obejmuje ona około 300 numerów prac malarzy naszych i zagranicznych, dawnych i nowszych. Dochód przeznaczony na cele dobroczynne.

W Pradze otwarto dnia 15 b. m. wystawę obrazów i rzeźb, w której przyjęli udział i polscy artyści. Ma trwać dwa miesiące.

Rząd austryacki zezwolił na wydanie włoskiemu wszystkich aktów, dotyczących rewolucyjnego rządu w Wenecyi, w latach 1848 i 1849; dotychczas przechowywano je w Tryeście. Pisma galicyjskie, donosząc o tem, podają, że akta dotyczące spraw Galicyi, mniej więcej z tej samej epoki, byłyby bardziej interesujące. Niewątpliwie.

Mierzwiński otrzymał od cesarza niemieckiego Wilhelma tytuł śpiewaka nadwornego. Słynnemu tenorzyście nieźle się dzieje. Właśnie ukończył podróż artystyczną po Niemczech: występował 43 razy, za co otrzymał 158,000 franków.

Modrzejewska rozpoczęła szereg występów w londyńskim teatrze *Lyceum;* odtwarzać będzie tylko postacie szekspirowskie.

Zbiór autografów, złożony ze 100 listów królowej Bony, z własnoręcznymi jej podpisami i pieczęciami, wystawiono w księgarni K. Bartoszewicza w Krakowie na sprzedaż. Zebrane w jednym tomie i oprawione należały do zbiorów warszawskiej biblioteki Załuskich. Wszystkie prawie, pisane bądź to w sprawach prywatnych, bądź też publicznych do Jana Dantyszka, stanowią piękną całość.

Szkoła paleografii i krytyki zastosowanej otwartą została w z. m. przy archiwach watykańskich w Rzymie pod kierunkiem głośnego historyka prof. Carini. Przy szkole znajduje się biblioteka podręczna i aparat paleograficzny złożony z obfitego zbioru facsimiliów i wydawnictw paleograficznych.

Jubileusz 60-letni swej prefektury obchodził w tych dniach słynny historyk niemiecki prof. dr. Ranke w Berlinie. Berlin nadał mu przy tej sposobności obywatelstwo honorowe, a dyplomu nie posyłano mu, jak Bismarkowi, przez urzędnika, lecz wręczyła go osobna deputacya.

Bibliografia polska. Association des anciens élèves de l'école polonaise: *Bulletin littéraire et scientifique*, n. 2[illegible]. Paris (Między innymi *Wiesław* Brodzińskiego i *Janko muzykant* Sienkiewicza w przekładach).

— Gnlędowska St. *Nowele i szkice literackie*, t. I i II, Lwów.

— Chmielowski ks. A. *Życiorys ks. Stan. Karnkowskiego*, arcyb. gniezn., Warszawa.

— Como kard. *Listy do o. Ant. Possewina*, wyjęte z archiwum watykańskiego, Kraków.

— Gołębiowski W. *Jesienne plony*, poezye ulotne wierszyki i próbki satyr Gozdawity, Kraków.

— Jaroszyński Ż. *W sprawie emigracyi Mazurów*, Lwów.

— Jastrzębiec St. *Bł. Ładysław z Gielniowa*, rys. hist. z 15 w., Kraków.

— Kosiński W. dr. *Niektóre właściwości* mowy pisarzowickiej wyd. Akad. umiej., Kraków.

— Kreutz F. prof. dr. *Skały trachitowe* w pienińskim pasie wapieni rafowych (Akad. umiej.), Kraków.

— Krzymuski E. dr. prof. *Wykład prawa karnego*, t. I, część ogólna, dział 1. Kraków.

— Langie Kaz. *Zadania kółek rolniczych w Galicyi*, Kraków.

— Łepkowski J. *Napisy z zabytków* krakowskich średniowieczne, zesz. I (Monumenta epigraphica medii aevi, fasc. I.) Akad. umiej. Kraków.

— Łoś W. hr. *Hrabia-starosta*, studyum, 2 t. Warszawa.

— Milewski J. dr. *O kredycie rolniczym.* Poznań.

— Pelczar J. ks. dr. prof. *Prawo małżeńskie* katolickie, wyd. drugie, Kraków.

— Prawdzic. *Jasełka krakowskie*, strofy humorystyczne, Kraków.

— *Rocznik* kółek rolniczo-włościańskich we W. ks. Poznańskiem, XI. Poznań.

— Smolikowski P. ks. *Wspomnienia* misyonarza bułgarskiego z wojny rosyjsko-tureckiej 1877/78. Kraków.

— *Zbiór prac* z kliniki lekarskiej prof. dr. Korczyńskiego w Krakowie, zesz. XI, Kraków.

— Żmichowska N. *Pisma*, t. I, Warszawa.

Kobiety na uniwersytecie. W Belgii dopuszczono kobiety do studyów uniwersyteckich przed 3 laty a wygotowane obecnie sprawozdanie stwierdza, że dopuszczenie to nie dało dotychczas powodu do skarg. Na uniwersytecie w Leodyum studyuje obecnie 19 kobiet, które oddają się naukom przyrodniczym i farmacyi. Do uniwersytetu w Gandawie uczęszcza 5 uczennic, z których 3 studyują umiejętności przyrodnicze, 2 farmacyę. W brukselskim uniwersytecie również jest kilka uczennic; z tych 3 z różnych wydziałów złożyły egzaminy z odznaczeniem.

Nowi docenci polscy. Na podstawie uchwały grona profesorów uniwersytetu lwowskiego zatwierdził austr. minister oświaty powołanie dr. Oswalda Balzera na prywatnego docenta prawa polskiego, dr. Józefa Puzyny na docenta matematyki, a dr. Aleks. Raciborskiego na docenta filozofii—wszystkich w uniwersytecie lwowskim.

W uniwersytecie wiedeńskim zostali docentami polacy: Dr. Alfred Domaszewski historyi starożytnej, a dr. Jan Hanusz sanskrytu i porównawczych badań językowych.

Zmarli. Księżna Augusta Montleart, właścicielka Izdebnika w Galicyi, siostra przyrodnia Karola Alberta, króla Sardynii, w Krzyszkowicach. W swoich dobrach przeżyła lat kilkanaście w odosobnieniu, czyniąc wielkie dobrodziejstwa dla ludu i otaczając szkoły szczególną troskliwością. Pozostawiła zapis 50.000 złr. na stypendya dla uczącej się młodzieży i wiele legatów dobroczynnych.

— Tytus Daszkiewicz, b. księgarz i nakładca wielu wydawnictw w Poznaniu.

— Franciszek Abt, kapelmistrz nadworny w Brunświku, kompozytor znanych i ulubionych pieśni, z których wiele niemałej wartości, we Wiesbadenie.

— Earl of Cairns. b. lord kanclerz w ministeryum Beaconsfielda, jeden z wybitnych przywódców partyi konserwatywnej, w Liddesfarm.

— Nicola Fabrizi, włoski generał, który od r. 1831 brał udział we wszystkich ruchach rewolucyjnych Włoch, b. szef sztabu Garibaldego, w Rzymie.

— Filip Fahrbach, kapelmistrz i kompozytor obok Straussa (ojca) i Launera, trzeci z najwybitniejszych wiedeńskich kompozytorów tańców, także autor kilku oper i dzieł religijnych, w Wiedniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

A. Kr. w Odesie. Wysłaliśmy ponownie.

Koz. w Petersb. Czterech pierwszych arkuszy tomu I osobno nie posiadamy.

Hor. w Koroczy. Posłaliśmy Witkowskiego, gdyż książeczki Kramsztyka traktują o fizyce, nie o geografii fizycznej.

J. Godl. w Perel. Posłaliśmy metodę Reusnera, która kosztuje rs. 2 kop. 60; przesyłka kop. 22, należy nam się przeto kop. 82.

Jan F. Ponieważ niektóre książki są jeszcze w handlu, nie możemy przedsiębrać ogólnego wydania. Druk Asp. rozpoczniemy wkrótce. Sylwetki będą.

A. Smith. w Herm. Wyszedł, ale zaznaczyliśmy wyraźnie w ogłoszeniu, że abonentom prowincyonalnym wyślemy po uzupełnieniu wszystkie tomy razem.

J. Or. w Moskwie. Wkrótce ogłosimy; nie wydamy jednak przed jesienią.

OFIARY.

Na Kasę Mianowskiego. Kółko znajomych z Kijowa rs. 10.

Dla studentek. B. O. z Dorpatu, dla rozstrzygnięcia sporu pieniężnego z kolegą W. Ł. rs. 16.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Апрѣля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski**